

Grecki parlament uchwalił niedawno ustawę umożliwiającą parom homoseksualnym zawarcie związku małżeńskiego. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że Grecją rządzi... centroprawica. Mało tego, nowe prawo zostało wprowadzone właśnie z jej inicjatywy. Czy w Polsce mogą zajść podobne zmiany? Cemu nadal ich nie wprowadzono, skoro wydawałoby się, że mamy obecnie najbardziej liberalny w tej kwestii rząd od 1989 roku?

2



Zdjęcie: Delta Glandini - unsplash.com

„Jedynym człowiekiem, którego się bałem, była kobieta, Griselda Blanco” – tak o bohaterce serialu Netflix'a mówił sam Pablo Escobar. Nowa produkcja twórców „Narcos” wzbudziła niemałe kontrowersje. Niezależnie od tego, jak jest oceniana, ta fascynująca opowieść o kobiecie, która na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku rządziła podziemiem narkotykowym w Miami, zasługuje na uwagę.

14

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra



Bezpłatny miesięcznik
Nr 107 | MARZEC 2024

Polskie Watergate, czyli Pegasus

Komisja śledcza do spraw Pegasusu bada legalność, prawidłowość i celowość działań podejmowanych z wykorzystaniem tego oprogramowania. O największej aferze z czasów rządów PiS, nazywanej nawet „polskim Watergate”, opowiada wiceprzewodniczący komisji, poseł KO Marcin Bosacki.

Czym właściwie jest Pegasus i czy różni się od zwykłego podsłuchu?

– Przede wszystkim to jest najbardziej zaawansowany system, który potrafi nie tylko podsłuchiwać. Mówienie w sprawie Pegasusu o podsłuchach jest nieprawdą, bo to jest system, który jest w stanie opinać całe atakowane urządzenie. Jeśli atakuje telefon komórkowy, to ma dostęp do SMS-ów wiele lat wstecz, od momentu, kiedy telefon był używany, a nawet wcześniej, jeśli z poprzedniego urządzenia były kopiowane dane. Ten system potrafi też manipulować treściami. Izraelczycy wymyślili tę broń cybernetyczną przeciwko terrorystom arabskim. Są znane przypadki, kiedy Izraelczycy, żeby skompromitować swoich wrogów, wysyłali z ich telefonów innym członkom organizacji pornografię. Więc to nie jest urządzenie podsłuchowe, to jest broń cybernetyczna.

I to właśnie dlatego wokół Pegasusu wybuchła taka afera?

– Tych powodów jest kilka. Po pierwsze ten system potrafi nie tylko podsłuchiwać. Po drugie to urządzenie, wbrew temu, co mówią ludzie z PiS-u, nigdy nie dostało certyfikacji, czyli zgody na używanie od ABW, które muszą mieć wszystkie urządzenia operacyjne w Polsce. Nawet jeśli sądy zgodzały



Zdjęcie: Freepik, autor filatart

System Pegasus inwigiluje totalnie urządzenia, które atakuje

się na użycie kontroli operacyjnej, czyli podsłuchów, to zawsze tylko na określony czas. Na przykład w ciągu miesiąca można zbierać informacje o jakiejś osobie. Tymczasem z powodu możliwości technicznych Pegasusu osoba nie jest inwigilowana na przestrzeni tego miesiąca czy kilku miesięcy, ale tak naprawdę inwigilowane jest całe jej życie. Po trzecie to, co odróżnia sprawę Pegasusu od wszystkich innych afer i łączy tę sprawę z aferą Watergate – podczas kampanii wyborczej wygranej przez PiS w 2019, szef sztabu PO Krzysztof Brejza, był inwigilowany totalnie przez 6 miesięcy. Ostatni atak miał miejsce 2 dni po wyborach. Nigdy nie przedstawiono mu zarzutów ani go nie przesłuchano, a służby miały dostęp do całości danych z jego telefonów komórkowych. Zmanipulowane dane były wykorzystywane podczas kampanii w ówczesnej tubie propagandowej PiS-u, czyli w TVP Info. Właśnie

dlatego uważam, że jest to największa afera z czasu rządów PiS.

Skoro Pegasus to broń, która powinna być wykorzystywana przeciwko terrorystom, to dlaczego została wykorzystana przeciwko politykom? Także politykom PiS-u.

– Powiem od razu, że nie znam personaliów osób inwigilowanych poza tymi, które zeznawały przed komisją senacką. Jednak z moich źródeł, również pisowskich, wiem, że raczej to są setki niż dziesiątki osób i że byli to również politycy PiS. Powodów można wyobrazić sobie wiele, mówimy tu o służbach pisowskich kierowanych przez polityków PiS-u, Kamińskiego i Wąsika. Mogło być to np. sprawdzanie lojalności wewnątrz własnych szeregów. Michał Kołodziejczak, zeznał przed komisją senacką, której byłem szefem, że wiosną 2019 był inwigilowany. To był czas, kiedy

miał kontakty z ówczesnym ministrem rolnictwa, Janem Ardanowskim, który często był w sporze z szefostwem własnej partii. Sam pan Ardanowski też być może był inwigilowany, ale to się dopiero potwierdzi. Druga bardzo niebezpieczna możliwość jest taka, że niektóre z osób, na które zbierano komplet informacji o ich zainteresowaniach, stanie zdrowia, stanie konta – ta wiedza mogła być wykorzystywana również do szantaży tych ludzi. Tę hipotezę będziemy sprawdzać, ale znając pisowskie obyczaje, jest to całkiem prawdopodobne.

Wspominał pan o tym, że Pegasus to broń stworzona przez Izrael. Czy w takim razie izraelskie służby miały dostęp do danych zbieranych w Polsce?

– To jest kolejna rzecz, którą trzeba zbadać, ale która według specjalistów od cybernetyki, jest wysoce prawdopodobna. Ten system działa

tak, że przesyła dane przez serwery w różnych krajach. Serwery są kontrolowane przez tego, kto dostarcza system, czyli izraelską spółkę NSO, a spółka mogła być kontrolowana przez służby izraelskie, choćby z tego powodu, że na eksport jej produktu potrzebna jest zgoda Ministerstwa Obrony. To otwiera kolejne zarzuty wobec tych, którzy kupili Pegasusu, czyli wobec panów Wąsika, Kamińskiego, Ziobry.

O co byłyby to zarzuty?

– O to, że umyślnie lub nie, tego nie przesądzam, pomagali obcemu wywiadowi – artykuł 130 KK. To będzie badane w najbliższym czasie przez komisję.

Wiadomo już, o jakich liczbach mówimy w kontekście Pegasusu? Ile pieniędzy wydano na ten cel z kieszeni podatników?

– Na razie wiemy, ile kosztował zakup systemu, 33 mln zł, z czego 25 mln w sposób nielegalny przeznaczono na ten zakup z Funduszu Sprawiedliwości, który miał służyć pomocą ofiarom przestępstw, co jest szczególną perwersją systemu pisowskiego. Natomiast nie wiemy, ile kupiono tzw. oczek, czyli strzałów Pegasusu i to na pewno było kolejne kilkadziesiąt milionów złotych. Ale czy to było kolejnych 20, czy 100 mln, tego nie wiemy. Także jeśli chodzi o liczbę wykupionych możliwych ataków na telefony – tutaj pojawiają się liczby od tysiąca do siedmiu tysięcy. Tylko to nie znaczy, że tyle osób było inwigilowanych. Sam Brejza w 2019 roku był atakowany 33 razy co najmniej, zatem na osobę przypadało prawdopodobnie kilka, kilkanaście strzałów. To wszystko będziemy wyjaśniać, od 15 marca ruszamy z pełną prędkością z pracami komisji śledczej. Myślę, że te ustalenia będą jeszcze ciekawsze niż dotychczasowe ustalenia z komisji wizowej i komisji do spraw wyborów kopertowych.

Karolina SZMYGIN

Chmury przysłaniające tęczę

Grecki parlament uchwalił niedawno ustawę umożliwiającą parom homoseksualnym zawarcie związku małżeńskiego. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że Grecją rządzi... centroprawica. Mało tego, nowe prawo zostało wprowadzone właśnie z jej inicjatywy. Czy w Polsce mogą zająć podobne zmiany? Cemu nadal ich nie wprowadzono, skoro wydawałoby się, że mamy obecnie najbardziej liberalny w tej kwestii rząd od 1989 roku?



Czy doczekamy się w Polsce chociaż związków partnerskich?

Grecja jest szesnastym państwem Unii Europejskiej, a trzydziestym szóstym na świecie, w którym zalegalizowano małżeństwa osób tej samej płci. Mimo rosnącego poparcia dla tej inicjatywy w Polsce (wg badania IPSOS dla OKO.press z 2022 roku 64% Polaków jest na tak) wciąż nie doczekaliśmy się nawet ustawy o związkach partnerskich. Projekty dotyczące związków jednopłciowych kilkakrotnie trafiały pod obrady polskiego parlamentu jednak nic z tego nie wynikło. Kolejna nadzieja z tym związana pojawiła się 15 października 2023 roku, kiedy to Koalicja 15.X wygrała wybory parlamentarne. Co obiecała osobom LGBT+ i która z obietnic zostało albo zostanie zrealizowane?

Sześć prób

Pierwszy projekt ustawy dotyczącej związków partnerskich pojawił się na rok przed wejściem Polski do Unii Europejskiej. Ówczesna senatorka SLD prof. Maria Szyszkowska przygotowała propozycję prawa, które umożliwiałoby wspólnotę majątkową, zwolnienie z podatków od spadków i darowizn, oraz dziedziczenie z mocy prawa parom jednopłciowym. Ustawa przeszła wówczas przez Senat, ale jej procedowanie przez Sejm zbiegło się ze śmiercią Jana Pawła II. Krótko potem zatrzymano dalsze prace nad nowym prawem.

– Miał to być pośmiertny prezent dla papieża w postaci zaniechania prac nad związkami partnerskimi – komentowała po latach dla magazynu „Replika” Szyszkowska. Prawie 10 lat później na przełomie lat 2011 i 2012 powrócono do tematu związków par jednopłciowych. Po-

wstały projekty SLD, Ruchu Palikota i w końcu ten najgłośniejszy – bliski realizacji – projekt senatora PO Artura Dunina. Ten ostatni zakładał takie możliwości jak prawo do pochówku zmarłego partnera, prawo do informacji medycznej oraz najważniejsze choć symboliczne – zawarcie takiego związku w Urzędzie Stanu Cywilnego. Nadzieje były wielkie, ale i tym razem plany spełzły na niczym. Wszystkie trzy projekty zostały odrzucone na jednym posiedzeniu. Przeciw głosowało aż 46 posłów rządzącej wtedy z PSL-em Platformy Obywatelskiej. W 2018 i 2020 roku powstały projekty Nowoczesnej i Lewicy (zakładające równość małżeńską), jednak przy większości parlamentarnej Prawa i Sprawiedliwości nie miały one szans powodzenia.

12 grudnia 2023 roku w Europejskim Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu zapadł bardzo ważny wyrok w kontekście społeczności LGBT+. Mówi on, iż Polska narusza Europejską Konwencję Praw Człowieka, nie wywiązując się z „obowiązku zapewnienia skarżącym uznania i ochrony ich związków jednopłciowych”. Wyrok jest rezultatem skargi wniesionej sześć lat wcześniej przez pięć polskich par, które nie miały możliwości zalegalizować swoich związków. Moment, w którym wydano wyrok, okazał się bardzo symboliczny. Stało się to bowiem na dzień przed exposé Donalda Tuska, czyli premiera rządu, który miał prowadzić zupełnie odmienną politykę wobec osób LGBT+, niż robiło to Prawo i Sprawiedliwość.

” 12 grudnia 2023 roku w Europejskim Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu zapadł bardzo ważny wyrok w kontekście społeczności LGBT+. Mówi on, iż Polska narusza Europejską Konwencję Praw Człowieka, nie wywiązując się z „obowiązku zapewnienia skarżącym uznania i ochrony ich związków jednopłciowych”.

Bardzo podobny wyrok zapadł dwa lata wcześniej, ale wtedy jedna z par zaskarżyła Włochy. Wówczas jednak po wyroku niekorzystnym dla państwa we Włoszech doszło do zmiany prawa. W maju 2016 roku zalegalizowano tam związki partnerskie. Pytanie brzmi więc, czy takie zmiany mogą zaistnieć również w kraju nad Wisłą. Rzecznik Praw Obywatelskich prof. Marcin Wiącek w styczniowym wywiadzie postawił sprawę jasno:

– Orzeczenia ETPC należy wykonywać bez nieuzasadnionej zwłoki. Ponadto pamiętajmy, że ratyfikowana umowa międzynarodowa – Europejska Konwencja Praw Człowieka – ma pierwszeństwo przed ustawą krajową. (...) jeżeli konwencja wymaga od polskiego parlamentu stworzenia jakiejś regulacji, to powinno to nastąpić – komentuje.

Konkrety, prezydent, PSL

Przed październikowymi wyborami Koalicja Obywatelska przedstawiła plan „100 konkretów na pierwsze 100 dni rządów”. W 46 punktach tegoż dokumentu możemy przeczytać o legalizacji związków partnerskich. 22 marca 2024 roku minie więc zakładany przez rząd termin procedowania ustawy. Bardzo

możliwe, że w Koalicji Obywatelskiej znalazłoby się wystarczające poparcie dla tego projektu. Zdecydowanie na tak są także Polska 2050 oraz Lewica. Na drodze stoją jednak posłowie PSL-u, którzy wciąż nie są przekonani do związków partnerskich.

Największą orędowniczką ustawy w koalicji rządzącej jest ministra ds. równości, posłanka Lewicy Katarzyna Kotula. To ona prowadzi główne rozmowy z członkami partii agrarystów.

– Nie będę ukrywać, to nie są łatwe rozmowy. Na ten moment PSL mówi jasno – pokażcie nam założenia, a będziemy dalej rozmawiać. Dlatego czekam na konsultacje, żeby nie było, że sama podejmuję takie decyzje. Będziemy rozmawiać ze stroną społeczną, co zostawić, co wywalić. (...) Na pewno cieszy mnie też fakt, że są pojedyncze głosy, szczególnie posłanki PSL, które zgłaszają gotowość poparcia ustawy. Tu prym wiedzie Urszula Pasławska” – mówiła w swoim grudniowym wywiadzie dla OKO.press Kotula. Niewygodnym ogniwem w tym legislacyjnym procesie może się też okazać prezydent Andrzej Duda. Jednakże członkowie koalicji rządzącej mają nadzie-

ję, że tak jak w przypadku ustawy o in vitro, prezydent odsunie w tym przypadku argumenty ideologiczne. – (...) to projekt odpowiadający na realne potrzeby społeczne. Ale konsultacje z Kancelarią Prezydenta to koniec tego tasiemca legislacyjnego – mówiła we wspomnianym wywiadzie ministra ds. równości.

Nie tylko miłość

Kwestią, która prawdopodobnie zostanie rozwiązana szybciej, jest walka z mową nienawiści wobec osób LGBT+ w Polsce. Tuż po wyborach doszło do spotkania przedstawicieli środowisk LGBT+ z posłami koalicji rządzącej. Obecny na tym spotkaniu Bart Staszewski mówił wtedy o „poczuciu stabilizacji i bezpieczeństwa”.

– Trzeba skończyć z mową nienawiści i to jest do zrobienia natychmiast – komentowała obecna na spotkaniu posłanka Polski 2050 Katarzyna Karpa-Świderek.

W styczniowym wywiadzie dla Polskiej Agencji Prasowej wiceminister sprawiedliwości i poseł Lewicy Krzysztof Śmiszek mówił, że trwają prace nad zmianą kodeksu karnego w tym zakresie:

– To dotyczy przede wszystkim artykułów 119, 256, 257 Kodeksu karnego. Głównie chodzi o poszerzenie katalogu przestępstw, które będą traktowane jako dyskryminacyjne – tłumaczył Śmiszek.

„Trochę mamy dość”

Większość zmian w prawie dot. osób LGBT+ wciąż jest w fazie planowania. Są więc tacy członkowie tej społeczności, którzy chcieliby przyspieszenia w tym zakresie.

– Trochę już mamy dość i nie chodzi tu tylko o zmiany w równości małżeńskiej. Wciąż mamy szkodliwe przepisy dotyczące osób trans, trzeba pozywać swoich rodziców, by skorygować płęć. Zmiany przeciw hejtowi wobec osób LGBT+ ciągną się już od października zeszłego roku. Ludzie, mamy 2024 rok i tu jest Unia Europejska – mówi rozgoryczona Marcelina, osoba transpłciowa.

– Myślę, że w końcu powinienem mieć przynajmniej możliwość zawarcia związku partnerskiego ze swoim chłopakiem, gdziekolwiek jestem w Unii Europejskiej, w tym oczywiście w Polsce – dodaje Sebastian.

W marcu od wyborów parlamentarnych minie 5 miesięcy. Pomimo wyraźnej zmiany na korzyść, jeśli chodzi o traktowanie osób LGBT+ przez rządzących, wciąż brakuje kluczowych rozwiązań prawnych. Wygląda jednak na to, że coraz bliżej jesteśmy pytania „kiedy”, a nie „czy”. Tempo pozostawia jednak sporo do życzenia.

Filip STACHOWICZ

Kampania permanentnego kryzysu

Prawo i Sprawiedliwość, do niedawna najpotężniejsza partia w Polsce, w trakcie kampanii przed wyborami samorządowymi znajduje się w defensywie. Sondaże wskazują, że poparcie dla PiS-u jest mniejsze od poparcia dla KO. Zjednoczona Prawica kontynuuje wątki z zeszłorocznej kampanii parlamentarnej, a walki wewnątrz prawicowego obozu się nasilają. Czy PiS jest na przegranej pozycji w kampanii samorządowej? Jak duży może być wymiar porażki wyborczej partii Jarosława Kaczyńskiego?



Prezes PiS Jarosław Kaczyński

7 kwietnia odbędzie się pierwsza tura wyborów samorządowych. Tego dnia wybrani zostaną między innymi radni dzielnic, gmin, powiatów i sejmików wojewódzkich, a także wójtowie, burmistrzowie i prezydenci miast. To ważny okres kampanijny nie tylko dla dominujących na scenie politycznej partii, ale i dla setek lokalnych komitetów kandydatów i obywateli.

PiS w kryzysie

Zazwyczaj kampania wyborcza jest szansą na nowe otwarcie dla formacji politycznych, które przegrały poprzednie wybory, jednak Prawo i Sprawiedliwość od przegranej w wyborach parlamentarnych nadal pozostaje w głębokiej defensywie. Przeprowadzone przez nową koalicję rządową w grudniu zmiany we władzach mediów publicznych i postawienie spółek Telewizji Polskiej, Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej w stan likwidacji pozwoliło PiS-owi na zmobilizowanie części elektoratu do udziału w protestach przeciw zachodzącym zmianom, jednak opinia publiczna szybko straciła zainteresowanie tym tematem. Również sprawy prawomocnego skazania, doprowadzenia do więzienia i ponownego, tym razem ważnego prawnie, ułaskawienia przez prezydenta Andrzeja Dudę Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, Zjednoczona Prawica nie była w stanie wykorzystać do zwiększenia swojego poparcia. Kolejne sondaże pokazują, że Koalicja Obywatelska wyprzedziła PiS, stając się formacją polityczną z największym poparciem.

– Spora część kandydatów PiS-u tak naprawdę startuje z własnych komitetów wyborczych, czyli chowają oni szyld partyjny, a to znaczy, że szyld stanowi obciążenie. – Zdaniem profesor Piontek nie rokuje to dobrze dla PiS-u, zwłaszcza że takie decyzje kandydatów są zazwyczaj oparte na sondażach i rozeznaniu w lokalnych nastrojach.

Sytuacja rządzącej do niedawna partii wydaje się trudna. Nie polepszają jej przebijające się do mediów informacje o sporach między poszczególnymi frakcjami wewnątrz PiS-u i, szerzej, Zjednoczonej Prawicy. Część czołowych, najważniejszych polityków PiS-u, na czele z byłym premierem Mateuszem Morawieckim oraz ministrem edukacji Przemysławem Czarnikiem, zaczęła być regularnie wymieniana jako potencjalni następcy Jarosława Kaczyńskiego na stanowisku prezesa Prawa i Sprawiedliwości. Sam Kaczyński, mający 74 lata, postanowił publicznie uciąć spekulacje na temat swej politycznej emerytury. Oświadczył, wbrew wcześniejszym zapewnieniom, że będzie się ponownie ubiegał o prezesurę PiS-u w trakcie przyszłorocznego kongresu partii. Narasta jednak wewnętrzna krytyka lidera PiS, który coraz częściej w swoich publicznych wypowiedziach skupia się na obrażaniu przeciwników politycznych, zamiast na formułowaniu nowego programu partii. Najbardziej jaskrawym przykładem tej tendencji było porównanie pod koniec stycznia premiera Tuska do wodza III Rzeszy Niemiec Adolfa Hitlera. Nawet trwające obecnie protesty rolników przeciw unijnej polityce Zielonego Ładu i importowi produktów rolnych z broniącej się przed rosyjską inwazją Ukrainy nie odwró-

ciły negatywnej dla PiS-u sondażowej tendencji. Przyczyn takiego stanu rzeczy można się doszukiwać w zaangażowaniu związanego z PiS-em komisarza Unii Europejskiej do spraw rolnictwa Janusza Wojciechowskiego w formułowanie Zielonego Ładu, popartego następnie przez rząd Mateusza Morawieckiego. Problematyczna dla PiS-u jest też działalność trzech sejmowych komisji śledczych, badających tzw. aferę wizową, wybory kopertowe i wykorzystanie programu szpiegowskiego Pegasus, które regularnie nagłaśniają nieprawidłowości i przestępstwa, do których mogło dochodzić w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy.

Obciążający szyld partyjny

Ewentualne niepowodzenie Prawa i Sprawiedliwości w nadchodzących wyborach samorządowych może mieć daleko idące konsekwencje dla przyszłości samej partii, jak i dla całej sceny politycznej kraju. Zwróciliśmy się więc z prośbą o komentarz do profesor Dorothei Piontek z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, która jest ekspertką w dziedzinie komunikowania politycznego.

Spytaliśmy profesor Piontek o to, czy Prawo i Sprawiedliwość znajduje się na przegranej pozycji w

kampanii samorządowej. Według ekspertki wszystko wskazuje na to, że PiS faktycznie nie radzi sobie dobrze w kampanii samorządowej. Istotnym problemem jest niska rozpoznawalność znacznej części kandydatów partii. Profesor Piontek zauważa ponadto:

– Spora część kandydatów PiS-u tak naprawdę startuje z własnych komitetów wyborczych, czyli chowają oni szyld partyjny, a to znaczy, że szyld stanowi obciążenie. – Zdaniem profesor Piontek nie rokuje to dobrze dla PiS-u, zwłaszcza że takie decyzje kandydatów są zazwyczaj oparte na sondażach i rozeznaniu w lokalnych nastrojach. – PiS raczej nie zaważy o to, o co chciałby walczyć, o co walczył cztery lata temu – stwierdza pani profesor.

W przestrzeni publicznej pojawiają się spekulacje odnośnie możliwych wyników wyborów do sejmików wojewódzkich. Niektóre przewidywania zakładają nawet przegraną PiS-u we wszystkich województwach z wyjątkiem Podkarpacia. Poprosiliśmy profesor Piontek o ocenę realności scenariusza wygranej partii koalicji rządowej w większości województw.

– Myślę, że w dużej mierze sympatia ogólnokrajowa przełoży się na wyniki. Ostatnie sondaże wskazują, że to Koalicja Obywatelska i Trzecia Droga punktują, natomiast Prawo i Sprawiedliwość traci – zauważa profesor Piontek. Ekspertka wskazuje również na fakt upartyjnienia wyborów do sejmików na tle innych wyborów samorządowych. W wyborach do sejmików wojewódzkich zazwyczaj kandydaci są anonimowi dla mieszkańców regionu, których bardziej interesuje partyjny szyld. Partie obecnie rządzącej koalicji zyskują poparcie

w skali kraju, co prawdopodobnie przełoży się na odbicie z rąk PiS-u większości sejmików.

Widmo rychłej klęski

Skutki ewentualnej klęski wyborczej, zdaniem profesor Piontek, mogą być dotkliwe dla PiS-u. Ekspertka wskazuje na to, że wielu członków tej partii dołączyło do ugrupowania w nadziei na korzyści związane z posiadaniem władzy. Utrata władzy w kraju była dla tego środowiska nie tylko dotkliwym ciosem politycznym, ale i finansowym. Utrata kontroli nad sejmikami wojewódzkimi może doprowadzić do nowej fali rozgoryczenia w szeregach partii. Istotnym problemem PiS-u w przyszłości jest też sam Jarosław Kaczyński.

– Lider nie daje w tej chwili gwarancji tego, że może się coś zmienić, a wręcz przeciwnie. Widać, że pogrąży się w swoim świecie, a jest osobą trudno sterowalną. Trudno wskazać osoby, które mogłyby na niego mieć wpływ – stwierdza profesor Piontek. Według ekspertki nie widać też obecnie nikogo, kto byłby w stanie zastąpić Kaczyńskiego na czele PiS-u, utrzymując jednocześnie jedność tego środowiska politycznego. – Porażka PiS-u, w zależności od jej rozmiaru, może spowodować, że będziemy świadkami rozpadu, bądź animozji prowadzących do przeformułowania tego bytu, który określamy mianem Zjednoczonej Prawicy.

Nadchodzące wybory samorządowe będą zatem ważne dla przyszłości Prawa i Sprawiedliwości. Wiele wskazuje na to, że obecna kampania zakończy się dla tej partii dotkliwą klęską. Jej konsekwencją mogą być gruntowne zmiany na scenie politycznej Polski.

Oskar KMAK

Plan na odczarowanie szkoły

Jednym z głośnych postulatów nowego rządu były różnego rodzaju zmiany w polskiej edukacji. Wspominano o potrzebie podwyżek dla nauczycieli, ale też reform dotyczących podstawy programowej, niezwykle często krytykowanej w ostatnich latach. Kolejne pomysły i projekty spotykają się z różnymi opiniami – jedni są usatysfakcjonowani, drudzy niekoniecznie.

Ministerstwo Edukacji Narodowej rozpoczęło pracę nad reformami w edukacji. Pojawiają się kolejne projekty dotyczące tego, co powinno ulec zmianie. Wydaje się, że w końcu wysłuchano głosów osób najbardziej dotkniętych problemami polskiej oświaty – nauczycieli, rodziców, a przede wszystkim uczniów. Do informacji publicznej dotarły konkretne pomysły, jak ulepszyć polskie szkoły i co należy zmienić, aby poprawić ich funkcjonowanie.

W ostatnich latach wzrosła świadomość konieczności odchudzenia podstawy programowej i sprawienia, aby dzieci i młodzież nie były poddawane aż takiej presji dotyczącej przerobienia wymaganego materiału. To, jak bardzo ilość nauki przekracza ich możliwości, można zaobserwować na wielu płaszczyznach, jednak najbardziej alarmujące są statystyki prób samobójczych wśród osób nieletnich, które z roku na rok wzrastają. Często wiąże się to właśnie ze szkołą, ponieważ to ona generuje ogromne ilości stresu wśród młodych osób.

Proponowane zmiany dla uczniów dotyczą przede wszystkim podstawy programowej, ale także zadań domowych, zatrudniania psychologów w szkołach czy chociażby rozliczania lekcji religii. Lekcje tego przedmiotu, a także etyki miałyby zostać ograniczone do jednej godziny w tygodniu, a ocena nie będzie już wliczała się do końcowej średniej. Z nowym rokiem szkolnym z planów zajęć ma zniknąć historia i teraźniejszość. Prawdopodobnie zostanie zastąpiona zajęciami z wychowania obywatelskiego. Wejście w życie całkowicie nowej podstawy programowej ministra edukacji Barbara Nowacka zaplanowała na rok szkolny 2026/2027 – do tego czasu, w okresie przejściowym będzie obowiązywać jej zawężona wersja. Plan już



Już w kwietniu zostaną wprowadzone pierwsze rewolucyjne zmiany

jest, ale opinie na jego temat bywają skrajne.

Co z pracami domowymi?

Ostatnio dyskusję w mediach społecznościowych wywołała zmiana dotycząca zadawania dzieciom pracy do domu. Według nowego rozporządzenia, wchodzącego w życie od kwietnia nauczyciele w szkołach podstawowych nie będą mogli zadawać obowiązkowych prac domowych dzieciom. W klasach I–III nie powinno się robić tego wcale, zaś w przypadku klas IV–VIII jest taka możliwość, ale w charakterze fakultatywnym. Decyzję uzasadniano częstymi praktykami ze strony pedagogów polegającymi na zadawaniu nadmiernej liczby zadań do domu (także na ferie, wakacje czy przerwy świąteczne) oraz obserwowaniem zmęczenia uczniów wynikającego z braku czasu wolnego. Przypomniano, że oprócz zadań domowych młodzież ma także inne obowiązki, takie jak systematyczna nauka czy chociażby czytanie lektur, na co muszą poświęcić godziny, których nie spędzają już w placówce. Ocena tej decyzji wśród zainteresowanych nie zawsze okazuje się jednak zgodna ze stanowiskiem MEN.

– Brak zadań domowych nie jest do końca w mojej opinii dobrym rozwiązaniem. Moim zdaniem trzeba się przyjrzeć sensowności zadawanych zadań i ograniczyć je, jednak całkowita ich likwidacja wpłynie negatywnie na systema-

– Nauki w ciągu czterech lat liceum jest bardzo dużo. Nie wystarcza czasu na dokładne omówienie wszystkiego, przykładowo lektur na polski. Ogromna ilość materiału generuje dużo stresu, bo ostatecznie uczniowie muszą sami douczać się przed samą maturą – ocenia Maja, uczennica jednego z poznańskich liceów.

tyczność i uczenie się dzieci – mówi Anna, nauczycielka w szkole podstawowej.

Wśród komentujących, między innymi na platformie X, pojawiają się przeróżne głosy – jedne oceniają reformę pozytywnie, wskazując na konieczność jej wprowadzenia, inne uznają ją za całkowicie zbędną. Zwracano uwagę na fakt, że nie obejmuje ona uczniów na etapie szkoły średniej, co także spotyka się z krytyką, bowiem to oni muszą poświęcić najwięcej czasu na samodzielna naukę, chociażby do matury.

Przeładowana podstawa programowa?

W ostatnich latach bardzo dużo mówi się o potrzebie zmodyfikowania podstawy programowej. Przeładowana, przepełniona, z ogromną ilością zbędnych informacji – to tylko niektóre z najczęstszych negatywnych komentarzy uczniów, rodziców i nauczycieli. Dzieci i młodzież zarówno w podstawówkach, jak i szkołach średnich mnóstwo czasu spędzają przed książkami, często kosztem własnego czasu

wolnego, rozwijania pasji, a także zdrowia psychicznego. Ilość materiału okazuje się nieadekwatna do ilości godzin przewidzianych na jego realizację w placówce, więc w rzeczywistości wiele treści należy nadrabiać w domu.

– Nauki w ciągu czterech lat liceum jest bardzo dużo. Nie wystarcza czasu na dokładne omówienie wszystkiego, przykładowo lektur na polski. Ogromna ilość materiału generuje dużo stresu, bo ostatecznie uczniowie muszą sami douczać się przed samą maturą – ocenia Maja, uczennica jednego z poznańskich liceów.

„Pan Tadeusz” do skasowania

Zmniejszenie zakresu treści do przerobienia dotyczy wielu przedmiotów – największe emocje wzbudził jednak język polski. Temat lektur powoduje spore podziały od zawsze – jedni uważają, że omawianie klasyki literatury jest konieczne, inni wskazują na pewne wady. Większość nastolatków podkreślała brak sensu w przerabianiu przynajmniej niektórych lektur, co w końcu spotkało się z odpowiedzią MEN-u.

Media obiegra propozycja zmian w kanonie – wiele z dotychczas obowiązkowych tekstów miało przejść do lektur uzupełniających, głównie poetyckich. Zniknąć miałyby m.in. niektóre treny i psalmy Jana Kochanowskiego, „Reduta Ordoña”, czy „Romeo i Julia”. Większość zmian dotyczy tekstów krótkich, zwykle drukowanych w podręcznikach – na których czytanie bardzo często i tak brakuje czasu. Część książek dotychczas obowiązujących w całości miałyby zostać omówiona jedynie w fragmentach. Tutaj pojawiła się informacja wzbudzająca największe skrajnych opinii – obowiązywałyby jedynie fragmenty „Pana Tadeusza”. W mediach społecznościowych pojawiło się wiele krytycznych opinii, jednak liczne pochodzą od osób, których temat ten od dawna już nie dotyczy. Wśród uczniów można zaś dostrzec sporo pozytywnych komentarzy.

– Lektury takie jak „Pan Tadeusz” są napisane trudnym do zrozumienia językiem. Myślę, że ich treść nie jest szczególnie istotna w całym procesie kształcenia się młodego pokolenia. Takie lektury w kanonie często powodują z kolei niechęć do czytania jakiegokolwiek książki – przyznaje Maja.

Na razie nie mamy zbyt wielu konkretnych, jednak obecne plany wskazują na to, że niektóre kwestie należałoby wprowadzić „na już”, najlepiej od najbliższego roku szkolnego. Stąd pojawia się pytanie, na ile podłoże tych reform jest dobrze przygotowane, a w jakim stopniu jest to odpowiedź na aktualne potrzeby, bez zbytecznego wybiegania w przyszłość. Większość głosów w MEN proponuje przede wszystkim zmniejszenie ilości treści, nie precyzując, w jakim kierunku miałyby pójść całkowita zmiana w podstawie programowej.

– Absolutnie popieram zmiany w podstawie programowej, ale zmiana nie powinna polegać na odchudzeniu, przynajmniej nie jedynie. Początkowo należałoby zastanowić się, jakie cele chcielibyśmy osiągnąć w kształceniu. Czy chodzi nam tylko o przygotowaniu do egzaminu? Wtedy możemy się bawić, raz coś skreślając, a raz dopisując. Natomiast gdybyśmy najpierw zajęli się sprecyzowaniem celów edukacji, jej priorytetów, to dopiero kolejnym krokiem byłoby pytanie o to, jakimi metodami należałoby to osiągnąć. Dobrą lekcję należy przygotowywać dwa razy tyle czasu, ile ona potrwa. Dobrze przygotowaną reformę szkoły ponadpodstawowej należałoby opracować, jeśli nie osiem lat, to przynajmniej cztery – podsumowuje Magda, nauczycielka w jednym z poznańskich liceów.

Oliwia GARCZYŃSKA

Niezrozumiały slang, spóźnianie się, lenistwo i roszczeniowość, czy też korzystanie z urlopu dla zdrowia psychicznego – tak starsze pokolenia wyobrażają sobie stereotypowego przedstawiciela gen Z na rynku pracy. Odmiennie podejście do kariery zawodowej tej generacji często bywa przedmiotem kontrowersji wśród starszych pracowników.

W zależności od źródeł do pokolenia Z można zaliczyć osoby urodzone od końca lat 90. XX wieku do roku 2012 lub 2015. Członkowie tej generacji jako pierwsi dorastali w świecie nowoczesnych technologii. Teraz zaczynają wkraczać na rynek pracy, a ich podejście do życia zawodowego różni się od sposobu myślenia starszych pracowników. To osoby wychowujące się w czasach z dostępem do internetu. Korzystają z social mediów na co dzień, znają obecne, szybko zmieniające się trendy i szybko uczą się obsługi nowych aplikacji, programów lub urządzeń. To daje im przewagę na rynku pracy, ale bywa też przyczyną kontrowersji i przyklejania łatek.

Stereotypowe wyobrażenia na temat przedstawiciela pokolenia Z pokazują osobę, która jest leniwa, roszczeniowa i nie zostaje w miejscu pracy ani minuty dłużej niż do ustalonej godziny jej zakończenia. Jest nielojalna wobec firm, w których pracuje, więc często je zmienia, korzysta ze smartfona w każdej wolnej chwili, a zarobione pieniądze przeznaczają na swoje zachcianki.

A jak jest naprawdę? Przedstawiciele pokolenia Z są kreatywni i wiedzą, jak współpracować z nowymi technologiami, stąd słuszne przekonanie, że to oni prowadzą firmowego TikToka i inne social media. Mimo tego, że posiadają wspólne cele i priorytety, są grupą bardzo różnorodną, często stawiają na indywidualizm. Istotnymi cechami wymaganymi przez nich w miejscu pracy są elastyczność i możliwość rozwoju. Nie wybiegają daleko w przyszłość, często żyją tym, co jest „tu i teraz”. Zależy im również na dobrym samopoczuciu i zdrowiu psychicznym. Wykonywany zawód nie jest czymś, co ich definiuje. Zamiast tego skupiają się bardziej na celach w sferze prywatnej i na czasie wolnym.

Przeciwstawiają się nadużyciom ze strony pracodawców i otwarcie komunikują o problemach oraz wyznaczają zdrowe granice. Często mówi się, o tym, że wybrzydzą podczas szukania pracy. Nie intere-

Gen Z na rynku pracy



Gen Z na rynku pracy to szansa czy utrapienie dla pracodawców?

„Wejście „Zetek” na rynek pracy z pewnością spowoduje wiele zmian. To bardzo zróżnicowana grupa ceniąca indywidualne i elastyczne podejście. Są to osoby, które dostrzegają, jak istotna jest troska o zdrowie psychiczne w miejscu pracy i zwalczanie szkodliwych zjawisk, takich jak mobbing czy wypalenie zawodowe.

sują się ofertami, w których nie podaje się widełek płac lub tymi z zarobkami poniżej najniższej krajowej. Nie nabierają się na benefity takie jak „praca w młodym i dyna-

micznym zespole” i „wypłata na czas”. Jeśli w miejscu zatrudnienia jest coś nie tak – odchodzą.

Różnice pokoleniowe sprawiają, że ich indywidualizm, wymagania i

chęć częstej zmiany pracy mogą być przyczyną kontrowersji i krytyki, szczególnie dla starszych współpracowników, przyzwyczajonych do pozostawania w jednym miejscu. „Zetki” w przeciwieństwie do swoich poprzedników, nie obchodzi kult pracy. Chcą mieć czas dla siebie i bliskich. Są ambitne i za swoją pracę oczekują adekwatnych płac, przez co starsze pokolenia mogą uważać je za roszczeniowe. Krytycy często zarzucają im również nierealne i wygórowane wymagania, niepasujące do aktualnej sytuacji na rynku pracy.



Przedstawiciele pokolenia Z są uważani za leniwych i często zmieniających miejsce zatrudnienia

O podejściu pokolenia Z wiele mówią trendy, które tworzą. „Snail girl” to zupełnie przeciwieństwo „Girl boss”. Przedstawicielki tego trendu zwalniają i zamiast bycia zajętej, wybierają bycie szczęśliwymi. To wyrażenie stworzyła właścicielka sklepu internetowego „Hello Sisi” Sienna Ludbey. Zgodnie z jej filozofią „Snail girl nie spieszy się, ale tworzy dla samej idei tworzenia”. Głównym celem jest znalezienie równowagi pomiędzy życiem zawodowym, a prywatnym. Stres spowodowany presją czasu i nadmiarem obowiązków ma zostać zastąpiony przez spokój i umiejętność przyjrzenia się własnym potrzebom.

Z pokoleniem Z łączy się również pojęcie „quiet quitting”. Nie chodzi w nim o zwalnianie się z pracy, ale o zmianę jej filozofii. Pokazuje problem, z jakim większość ludzi zmaga się w życiu zawodowym. To odejście od przekonania, że praca jest najwyższą wartością. To rezygnacja z działań wykraczających poza podstawowe obowiązki. Pracownicy nie podejmują się dodatkowych zadań, nie zostają po godzinach, interesują się wyłącznie tym, co zostało im powierzone. Dzięki temu nie angażują się emocjonalnie w pracę. Nie wynika to z lenistwa, a z troski o zdrowie psychiczne. Taka zmiana priorytetów ma przyczynić się do zniwelowania stresu spowodowanego nadmierną liczbą obowiązków, poprawy samopoczucia i przeciwdziałania wypaleniu zawodowemu.

Celem „quiet quitting” jest uzyskanie powszechnie znanego work-life balance. To podejście oznacza utrzymanie równowagi pomiędzy życiem zawodowym, a prywatnym. Praca nie jest już najważniejszym elementem życia. Dzięki temu można znaleźć czas dla swoich bliskich, a także na odpoczynek i realizację swoich zainteresowań. Pracuje się, żeby żyć, a nie żyje, by pracować. Równowaga pomiędzy tymi sferami ma zapobiec pracoholizmowi i wypaleniu zawodowemu – które zaczynają być coraz bardziej dostrzegalne.

Wejście „Zetek” na rynek pracy z pewnością spowoduje wiele zmian. To bardzo zróżnicowana grupa ceniąca indywidualne i elastyczne podejście. Są to osoby, które dostrzegają, jak istotna jest troska o zdrowie psychiczne w miejscu pracy i zwalczanie szkodliwych zjawisk, takich jak mobbing czy wypalenie zawodowe. Ich wymagania często są krytykowane. Zarzuca im się, że są leniwi, ale po prostu nie pielęgnują kultu pracy, pogoń za pieniądzem nie jest dla nich najważniejsza. Opisuje się ich jako roszczeniowych, bo nie zgadzają się na nadużycia ze strony pracodawców. Wraz z wejściem na rynek pracy wprowadzają nowe wartości, które z pewnością były i będą potrzebne.

Marcelina GÓRSKA

Polityczny dom strachów za Odrą



Sahra Wagenknecht jest córką Niemki i Irańczyka

Państwo opiekuńcze „bez zielonych fanaberi” i poprawności politycznej i wsparcia dla Ukrainy. „Germany First”. Czy to program polityczny znanej z kontrowersyjnych pozycji niemieckiej partii AfD? Nie do końca. To postulaty nowej, określającej się mianem lewicowej formacji, założonej przez bezpartijną polityczkę, do niedawna związaną z ugrupowaniem die Linke, Sahrę Wagenknecht.

Wagenknecht urodziła się w 1969 roku w Jenie, znajdującej się ówczesnie na terenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Co ciekawe, szczególnie w kontekście jej późniejszych, antyimigranckich wypowiedzi, Wagenknecht sama jest osobą z tłem migracyjnym, córką Irańczyka i Niemki. W ostatnich miesiącach istnienia NRD, młoda Sahra wstąpiła do SED (tamtejszej partii rządzącej). Upadek muru berlińskiego i koniec komunistycznego systemu nie zmienił politycznych zainteresowań młodej działaczki. Na studiach zgłębiała dzieła Marksa i zaangażowała się w działalność no-

wopowstałej partii socjaldemokratycznej (PDS), która stała się spadkobierczynią ernerdowskiej SED. Wagenknecht, podobnie jak wielu mieszkańców dawnego, „socjalistycznego raju” przeniosła się do zachodniej części kraju i kilkakrotnie kandydowała do Bundestagu z Dortmundu, przemysłowego miasta w Nadrenii-Północnej Westfalii.

Przez lata pięła się po politycznych szczeblach niemieckiej lewicy, wyrastając stopniowo na jedną z jej

„” Polityczka jest również zadeklarowaną przeciwniczką polityki otwartości względem uchodźców i migrantów. Obarcza ich winą za zubożenie niemieckiej klasy pracującej, wskazuje też, że obcokrajowcy wielokrotnie „nadużyli gościnności” Niemców. Wagenknecht sprzeciwiała się też obowiązkowym szczepieniom przeciw COVID-19.

liderek. Jednocześnie, jej kontrowersyjne poglądy oddalały ją od

politycznego mainstreamu. Pod koniec ubiegłego roku, wraz z dzie-



Wraz z dziewięcią bliskich współpracowników Wagenknecht opuściła szeregi Lewicy

więcioma innymi parlamentarzystami, opuściła szeregi die Linke i założyła własne ugrupowanie, czyli BSW – Bündnis Sahra Wagenknecht (Sojusz Sahry Wagenknecht). Jak doszło do tego rozłamu? Jak zaznacza ekspertka od systemu politycznego RFN, dr hab. Agnieszka Bielawska – skonfliktowana od wielu lat z władzami Lewicy Wagenknecht zarzucała im zdradę ideałów i skupianie się na mniej znaczących kwestiach dla zwykłych ludzi, a zarazem nadmierne zwracanie uwagi na postulaty osób z wielkich miast w zachodnich Niemczech – dobrze wykształconych i zarabiających, posiadających radykalne poglądy dotyczące równości, ochrony klimatu czy polityki migracyjnej.

Nostalgia za wschodem

Poglądy Wagenknecht reprezentują w znacznej mierze coś, co śmiało można nazwać lewicowym populizmem, cechującym się dodatkowo zabarwieniem wyraźnie konserwatywnym. Liderka BSW chce walczyć z kapitalizmem i dbać o lokalnych robotników, apeluje o ratowanie niemieckiego przemysłu przed „absurdami” proponowanymi jej zdaniem, przez współrządzającą obecnie Partię Zielonych. Być może najważniejszą, szczególnie z punktu widzenia Polski cechą programu politycznego Wagenknecht jest proponowana przez nią idea ponownego zbliżenia z Rosją. Liderka BSW wielokrotnie nawoływała do „pokoju” (preferencyjnie osiągniętego kosztem Ukrainy), krytykowała sankcje i podkreślała rolę współpracy gospodarczej z Putinem w budowaniu dobrobytu i zapewnieniu stabilności Niemiec. – Prorosyjskie podejście BSW uwidoczniło się np. w głównych założeniach programu partii na wybory do Parlamentu Europejskiego, we wskazaniu jako przyczyny agresji Rosji na Ukrainę „poważnego dyskryminowania mniejszości rosyjskojęzycznej przed 2022 rokiem”, w domaganiu się zatrzymania eksportu uzbrojenia na Ukrainę, aby „zmotywować Rosję do rozpoczęcia negocjacji”, czy w uzależnieniu dalszego wsparcia finansowego Ukrainy „od warunku gotowości do prowadzenia negocjacji pokojowych”, wskazuje prof. Bielawska.

– Nawoływanie do natychmiastowego podjęcia negocjacji z Rosją oraz ograniczenia pomocy Ukrainie dobrze korelują ze spadającym poparciem społeczeństwa dla niemieckiego zaangażowania militarnego i finansowego w konflikt (jak podawał K. Frymark z OSW, dzieje się to zwłaszcza na wschodzie kraju, gdzie 47% badanych uważało wsparcie militarne za zbyt duże, a 27% za adekwatne; zaś 52% wskazywało, że pomoc finansowa jest



Skrajne partie AfD i BSW mogą liczyć na blisko 30% poparcia wyborców

zbyt duża, a 29% – że odpowiednia). Przy tym należy zaznaczyć, że we wspomnianym programie partii trudno doszukać się spójności poglądów politycznych. Jak, złośliwie, ale trafnie, skomentował w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel” Gregor Gysi z Lewicy – „Sahra Wagenknecht chce prowadzić politykę migracyjną jak AfD, politykę gospodarczą jak Ludwig Erhard, politykę społeczną jak lewica i politykę wschodnią jak Gerhard Schröder”. Paradoksalnie, ten „mieszmasz” poglądów może zainteresować i skusić wyborców do zagłosowania na BSW – zaznacza prof. Bielawska.

Polityczka jest również zdeklarowaną przeciwniczką polityki otwartości względem uchodźców i migrantów. Obarcza ich winą za zubożenie niemieckiej klasy pracującej, wskazuje też, że obcokrajowcy wielokrotnie „nadużyli gościnności” Niemców. Wagenknecht sprzeciwiała się też obowiązkowym szczepieniom przeciw COVID-19. Jej poglądy na społeczeństwo, relacje międzynarodowe i kwestie gospodarcze w znacznej mierze pokrywają się z postulatami skrajnie prawicowej partii AfD, która zgodnie z badaniami udostępnianymi na portalu POLITICO, stała się w ostatnim półroczu drugą siłą polityczną w Niemczech. Jak zaznacza prof. Bielawska – pojawiły się głosy, że jedynym celem tworzenia partii przez Wagenknecht jest odebranie elektoratu AfD. Badanie wykonane przez instytut INSA dla „Bild am Sonntag” z października potwierdziło, że jest to prawdopodobne – aż 40% wyborców Alternatywy zadeklarowało, że zagłosuje na BSW. Sama Wagenknecht przyznała w programie ZDF „Heute Journal”, że BSW chce stanowić dla wielu osób oburzoną polityką

– Obawy o pogorszenie sytuacji w przyszłości, ale również niezadowolenie z polityki migracyjnej rządów Angeli Merkel i Olafa Scholza, negatywne efekty pandemii, czy nałożenie się na siebie skutków wojny na Ukrainie z kryzysami inflacyjnym, energetycznym, klimatycznym i migracyjnym, uporanie się obecnego lub przyszłego rządu z efektami kryzysów powiązanych chociażby z wojną na Ukrainie i pandemią oraz odejście od radykalnej polityki klimatycznej – te wyzwania, zdaniem prof. Bielawskiej, są kluczowe dla niemieckich wyborców.

niemieckiego rządu, zdesperowanych i nie mających na kogo głosować, wybierających AfD „nie dlatego, że są prawicowi, ale dlatego, że

są wściekli”, „poważną kontrpropozycję”. Najnowsze marcowe sondaże wskazują, że gdyby wybory federalne odbyły się w najbliższym

czasie, Sojusz mógłby zdobyć 7% głosów, natomiast Alternatywa 19%, czyli o 8,6 p. p. więcej głosów niż zdobyła w 2021 roku.

Dwugłowa hydra populizmu

BSW może liczyć na najwyższe zainteresowanie potencjalnych wyborców szczególnie na obszarach dawnego NRD. Te same tereny, odnotowują najwięcej głosów na skrajnie prawicową partię AfD. Dlaczego? Populiści wygrywają tam, gdzie „zwykły, szary obywatel” utracił poczucie przynależności i perspektyw na lepszą przyszłość. Obszary byłego NRD to zatem idealne miejsce, zmagające się wciąż ze skutkami długich dekad

dyktatury, których wpływu na mentalność, produktywność i przyzwyczajenia ludzi nie były w stanie wykorzystać lata kosztownej transformacji. Dawne Niemcy Wschodnie są wciąż uboższe od Zachodu, trapione bezrobociem i bardzo nasilonymi problemami demograficznymi. Tamtejsze miasteczka i wsie wręcz pustoszeją. Z wyjątkiem Berlina, który reprezentuje wielokulturowy i kreatywny świat możliwości, niewiele jest tam migrantów. Niektóre ze wschodnich landów, szczególnie Saksonia, mają wręcz opinię ksenofobicznych. Szczególnie niesławne pod tym względem jest miasto Chemnitz, w którym w 2018 roku doszło do zamieszek na tle rasistowskim, w których uczestniczyły neofaszystowskie organizacje. Mieszkańcy dawnego NRD czują się opuszczeni i rozczarowani transformacją, popularność zyskało określenie „Ostalgie”, opisujące nostalgię za czasami Niemiec Wschodnich. Według sondażu przeprowadzonego przez „Der Spiegel”, aż 57% mieszkańców byłej NRD, uważa, że dawny komunistyczny system miał więcej zalet niż wad.

Być może, ludzie ci tęsknią nie tylko za bezpieczeństwem socjalnym oferowanym przez państwo, mają również dość bycia obywatelami drugiej kategorii w zjednoczonych Niemczech. Do niedawna ich główną nadzieją była prawicowa AfD. Teraz, zwraca się do nich Sahra Wagenknecht, obiecując im powrót do „starych dobrych czasów”.

„Chory człowiek Europy”. Tak o największej gospodarce Europy i trzeciej potędze ekonomicznej świata pisano w ostatnich miesiącach na łamach m.in. „The Economist”, „CNN”, „The Guardian” oraz „Bloomberg”. Czy faktycznie jest tak źle? – Obawy o pogorszenie sytuacji w przyszłości, ale również niezadowolenie z polityki migracyjnej rządów Angeli Merkel i Olafa Scholza, negatywne efekty pandemii, czy nałożenie się na siebie skutków wojny na Ukrainie z kryzysami inflacyjnym, energetycznym, klimatycznym i migracyjnym, uporanie się obecnego lub przyszłego rządu z efektami kryzysów powiązanych chociażby z wojną na Ukrainie i pandemią oraz odejście od radykalnej polityki klimatycznej – te wyzwania, zdaniem prof. Bielawskiej, są kluczowe dla niemieckich wyborców.

Niemcami wstrząsają protesty rolników, a skrajni populiści, z prawej i z lewej strony sceny politycznej, zyskują w sondażach. Popiera ich blisko 1/3 wyborców. Jak podkreśla prof. Bielawska – niewątpliwie w proces decyzyjny partii skrajnych, przy ich rosnącym poparciu przekładającym się na zdobywanie coraz więcej mandatów w landtagach i Bundestagu, będzie bardzo trudne do utrzymania. Wkrótce Niemcy mogą stać się zupełnie innym krajem, co z pewnością wpłynie również na Polskę.



Zdaniem ekspertki izolacja skrajnych ugrupowań w Bundestagu nie jest do utrzymania

Kacper ZIELENIAK

„Najbardziej cool dyktator na świecie”

Swoje zwycięstwo w tegorocznych wyborach ogłosił, zanim jeszcze skończono liczyć głosy. Mimo tego, że zgodnie z Konstytucją Salwadoru nie powinien był kandydować po raz drugi. Kim jest Nayib Bukele, kontrowersyjny prezydent środkowoamerykańskiej republiki?

4 lutego w Salwadorze odbyły się wybory na prezydenta i wiceprezydenta państwa oraz do parlamentu. Prezydentem po raz kolejny został Nayib Bukele, który otrzymał prawie 85% głosów. Z kolei w wyborach parlamentarnych 54 z 60 mandatów otrzymali przedstawiciele partii Nuevas Ideas założonej w 2017 roku właśnie przez Nayiba Bukele. Wybory te okazały się więc jego wielkim sukcesem na obu frontach. Jak mu się tu udało?

Nayib Bukele to prawnik, neoliberalny i populistyczny polityk, który swoją karierę rozpoczął w głównej lewicowej partii Salwadoru FMLN (Front Wyzwolenia Narodowego im. Farabunda Martíego). Jako członek FMLN w 2012 roku został burmistrzem w salwadorskiej gminie Nuevo Cuscatlán, a trzy lata później burmistrzem stolicy Salwadoru – San Salvador. Po usunięciu (bądź odejściu – istnieją dwie sprzeczne ze sobą wersje) z FMLN w 2017 roku już jako burmistrz stolicy założył swoją własną partię Nuevas Ideas, która nie identyfikuje się ani z lewicą, ani z prawicą. Według Bukele ma to być partia „trzeciej drogi”, która określana jest jako tzw. catch-all party, czyli partia polityczna, której członkowie reprezentują szerokie spektrum przekonań. Miało to m.in. oddzielić jego nową formację od starego partyjnego establishmentu salwadorskiego (lewicowa FMLN i prawicowa ARENA), który Bukele zaczął krytykować. Nuevas Ideas powstawało jako partia antyestablishmentowa, która za główny cel stawiała sobie walkę z korupcją.

W 2019 roku Nayib Bukele wystartował w wyborach prezydenckich z ramienia prawicowej partii GANA (Grand Alliance for National Unity), co wynikało z tego, że obawiał się, iż Nuevas Ideas jako nowa partia do czasu wyborów nie zostanie zarejestrowana. Wybory te wygrał już w pierwszej turze, zdobywając ok. 53% poparcia i zostając pierwszym od początku lat 90. XX w. prezydentem Salwadoru spoza dwóch głównych partii (FMLN i



Z ponad 85% poparciem Nayib Bukele ponownie wybrany na urząd Prezydenta Salwadoru

ARENA). Został wtedy także najmłodszą osobą wybraną w Salwadorze na ten urząd. Wynik Bukele z jednej strony może bardzo dziwić, z drugiej natomiast wydawać się może spodziewanym. Dlaczego? W swojej kampanii wyborczej unikał występowania w debatach czy na konferencjach, a jego program wyborczy prawdopodobnie składał się w większości ze splagiowanych pomysłów kontrkandydatów. Ponadto był on kandydatem nowym, świeżym, wybijającym się spośród kandydatów partii, które rządziły państwem naprzemiennie (i nieprzerwanie) od 1989 roku, a których niektórzy politycy zamieszani byli w różne afery korupcyjne.

„Mano Dura”

Od końcówki XX wieku Salwador nieustannie zmagają się z falami przemocy i wszechobecnymi gangami (dwa główne gangi salwadorskie to Mara Salvatrucha w skrócie MS-13 oraz Barrio 18) i to właśnie walkę z nimi oraz zadbanie o bezpieczeństwo mieszkańców Salwadoru Nayib Bukele postawił sobie za priorytet swojej prezydentury. Spoglądając jedynie na statystyki morderstw w tym państwie, można zauważyć, jak wielki sukces odniósł na tym polu. Liczba zabójstw w przeliczeniu na 100 tys. obywateli nie była tak niska od ponad 30 lat. Jednak udało mu się to osiągnąć za sprawą bardzo kontrowersyjnych, momentami wręcz autorytarnych i stojących w sprzeczności z prawami człowieka metod.

Osoby podejrzane o bycie członkami gangów mogą być aresztowane praktycznie bez żadnych dowodów, do tego wystarczy chociażby

W 2021 roku Salwador przyjął ustawę, w której jako pierwsze państwo na świecie uznał bitcoiny za oficjalny środek płatniczy. W tym samym roku partia prezydenta, która wygrała wybory parlamentarne, odwołała pięcioro sędziów Sądu Najwyższego i Prokuratora generalnego, a na ich miejsca Bukele powołał wybrane przez siebie osoby.

posiadanie tatuaży. Więzienia są przepełnione, warunki w nich dramatyczne, a osadzeni mają skrajnie ograniczone prawa i przebywają w tam bez odbycia procesu. W marcu 2022 roku Bukele i jego rząd w odpowiedzi na nagły wzrost zabójstw wypowiedzieli „wojnę przeciwko gangom”, która ciągle trwa i w związku z którą do początku stycznia 2024 roku aresztowano ponad 75 tys. osób oskarżonych o powiązania z gangami. W rozmowie z „The Economist” (2023) Minister Sprawiedliwości i Bezpieczeństwa Publicznego Gustavo Villatoro na pytanie, jaka jest jego odpowiedź na zarzuty organizacji zajmujących się prawami człowieka, powiedział, że rząd nie pracuje dla tych organizacji, tylko dla obywateli Salwadoru.

W związku ze swoją polityką walki z gangami Nayib Bukele

podjął jeszcze jedną bardzo kontrowersyjną decyzję, o której nie można nie wspomnieć. W 2020 roku chciał zaciągnąć pożyczkę w wysokości ponad 100 mln dolarów, którą planował przeznaczyć na lepsze wyposażenie policjantów i żołnierzy walczących z salwadorską przestępczością. Żeby móc ją zaciągnąć, potrzebował zgody parlamentu, który wtedy był zdominowany przez przedstawicieli partii ARENA i FMLN. Parlamentarzyści przedłużali wydanie swojej decyzji i w związku z tym prezydent na czele uzbrojonej grupy żołnierzy wszedł do budynku parlamentu, usiadł na fotelu przewodniczącego i czekał, aż pożyczka zostanie zaakceptowana.

Oprócz prowadzenia polityki walki z gangami Bukele wyróżnił się na arenie międzynarodowej innymi

W 2023 roku zgodnie z propozycją prezydenta liczbę miejsc w parlamencie zmniejszono z 84 do 60, co według partii opozycyjnych do Nuevas Ideas miało sprawić, że zmniejszy się udział w polityce mniejszych partii i zostanie zapewniona jeszcze większa koncentracja władzy w rękach właśnie Nuevas Ideas, czyli tak naprawdę w rękach Bukele.

kontrowersyjnymi decyzjami, które bardzo chętnie opisywał w social mediach, szczególnie na Twitterze.

W 2021 roku Salwador przyjął ustawę, w której jako pierwsze państwo na świecie uznał bitcoiny za oficjalny środek płatniczy. W tym samym roku partia prezydenta, która wygrała wybory parlamentarne, odwołała pięcioro sędziów Sądu Najwyższego i Prokuratora generalnego, a na ich miejsca Bukele powołał wybrane przez siebie osoby. Później sąd ten orzekł, że prezydent Salwadoru może ubiegać się o reelekcję, co wcześniej było niemożliwe i z czym nie zgadza się wielu salwadorskich konstytucjonalistów. Twierdzą oni, że reelekcja jest niezgodna z Konstytucją. W 2023 roku zgodnie z propozycją prezydenta liczbę miejsc w parlamencie zmniejszono z 84 do 60, co według partii opozycyjnych do Nuevas Ideas miało sprawić, że zmniejszy się udział w polityce mniejszych partii i zostanie zapewniona jeszcze większa koncentracja władzy w rękach właśnie Nuevas Ideas, czyli tak naprawdę w rękach Bukele. Patrząc na wyniki tegorocznych wyborów, można stwierdzić, że mieli oni rację. Ostatnią kontrowersyjną decyzją, o której warto wspomnieć jest wprowadzenie w Salwadorze stanu wyjątkowego i jego nieustanne przedłużanie. Według raportu opublikowanego przez Amnesty International wykorzystanie tego środka nadzwyczajnego doprowadziło do ograniczenia i naruszenia praw podstawowych. Ana Piquer (dyrektor ds. Ameryk w Amnesty International) stwierdziła wręcz, że w Salwadorze przemoc gangów zastępowana jest przemocą państwa.

Jest on postacią bardzo kontrowersyjną, ale za to niesamowicie popularną w Salwadorze, a także w całej Ameryce Łacińskiej. Część przywódców tego regionu stawia go sobie za wzór do naśladowania. Zdawać się może, że jego decyzje są szerzej komentowane i kwestionowane poza granicami państwa niż w samym Salwadorze, gdzie poparcie dla niego nie maleje. Mieszkańcy Salwadoru zdają się być zadowoleni z tego, że na ulicach miast w końcu panuje względny spokój i bezpieczeństwo, a metody Bukele, tak długo jak są skuteczne, pewnie nie będą na masową skalę podawane w wątpliwości. Patrząc na wyniki wyborów prezydenckich oraz parlamentarnych, widać doskonale, jak duże poparcie wśród obywateli ma Nayib Bukele oraz jego partia. Pozostaje teraz przyglądać się dalszym krokom prezydenta i temu, w jaki sposób będzie rozporządzał władzą państwową, która praktycznie w pełni spoczywa w jego rękach.

Marianna CZMOCHOWSKA

Depeche Mode po dwóch występach w zeszłym roku powrócili do Polski na kolejne dwa koncerty, tym razem do łódzkiej Atlas Areny w dniach 27 i 29 lutego. Po udanym występie supportującego Humanist, na scenę wkroczyli członkowie zespołu – dwóch muzyków koncertowych oraz Dave Gahan i Martin Gore, kontynuujący rozpoczętą w zeszłym roku trasę.

Pprzed rozpoczęciem „Memento Mori World Tour” Depeche Mode ostatni raz w naszym kraju gościli w 2018 roku, dając cztery występy, w tym jeden na Open'er Festival. Kontekst towarzyszący obecnej trasie nadaje jej jednak dość szczególny charakter. Oprócz udanej promocji albumu „Memento Mori” jest to pierwsze tournée, które grupa odbywa jako duet wspomagany przez muzyków koncertowych (choć trzeba zaznaczyć, że ze wsparcia Christiana Eignera i Petera Gordeno zespół korzysta od dawna). Przed premierą ostatniej płyty spekulowano na temat przyszłości formacji, dlatego sukces komercyjny i artystyczny, zarówno longplaya (który chociaż nie wpisze się raczej w zespołową klasykę, spotkał się z dobrym przyjęciem), jak i promujących go koncertów miał nieco większe znaczenie niż zazwyczaj. Dedykacja dla Fletchera pojawiająca się podczas występów upamiętniała zmarłego muzyka, a sama forma koncertowa muzyków pokazywała, że „Depeche” wciąż prezentują na żywo wysoki poziom. Nie inaczej było podczas łódzkiego show.

Setlista w stosunku do zeszłorocznych koncertów w Warszawie i Krakowie uległa drobnym modyfikacjom. Zespół zrezygnował z kawałków „Sister of Night”, „World In My Eyes” i „Wrong”, zastępując je „Policy of Truth”, „Behind the Wheel” oraz „Black Celebration”. W repertuarze pozostały przy tym utwory zmieniające się w zależności od występu, z wykonywanymi naprzemiennie na rozpoczęcie bisu „Waiting for the Night” i „Condemnation” (we wtorek zdecydowano się na ten drugi), różnie dobieganym czwartym reprezentantem „Memento Mori” (tym razem padło na „Before We Drown”) i dwiema piosenkami śpiewanymi przez Martina Gore’a w akompaniamencie klawiszy. Podczas pierwszego z łódzkich występów wybrano „Strangelove” i „Somebody”. O ile ten drugi nie odbiegał w tej formie daleko od studyjnego pierwowzoru, tak pierwszy nabrał zupełnie innego charakteru. Mam w związku z tym

Łódź pełna Depeeszów



Depeche Mode wrócił do Polski w znakomitej formie.

”Oprawa wizualna nie oszałamiała fajerwerkami, chociaż nie sposób też nazwać jej ascetyczną. Była ona stylowa i nieprzytłaczająca. Jedynym elementem scenografii było ogromne „M” stojące za muzykami, stanowiące też część ekranu, na którym wyświetlano towarzyszące piosenkom wizualizacje. W połączeniu z przemyślaną grą świateł dobrze dopełniało to sceniczne show.

mieszane odczucia. Z jednej strony było to bardzo dobre wykonanie, a tego rodzaju aranżacja uwypukliła fantastyczną linię melodyczną

utworu. Z drugiej – „Strangelove” to energiczny i przebojowy kawałek, co mogłoby świetnie wybrzmieć, gdyby został zagrany

przez cały zespół. Problem podobnej natury pojawia się w przypadku „In Your Room”. Prezentowana na żywo wersja „Zephyr Mix” ma rockowe, potężne brzmienie, przez co może wydawać się bardziej adekwatna do grania na trasie. W ogólnym rozrachunku wypada jednak gorzej od studyjnego pierwowzoru, który na koncercie mógłby jeszcze bardziej urzec swoim klimatem. Poza tym każdy zagrany utwór sprawdził się bardzo dobrze.

Depeche Mode postawili na znane i lubiane kompozycje, dobierając przy tym materiał dość przekrojowo i nie przyznając żadnej płycie

znaczącej dominacji. Najliczniej reprezentowane „Memento Mori” i „Songs of Faith and Devotion” doczekały się odpowiednio czterech kawałków. W Łodzi wybrzmiewał przebój za przebojem – porywające rockową energią „I Feel You”, „A Pain That I’m Used to”, „John the Revelator”, nastrojowe „Stripped”, świetne „Walking in My Shoes”, „It’s No Good” oraz kończące podstawowy set, ikoniczne „Enjoy the Silence”. Na bis zespół zaśpiewał wspomniane „Condemnation”, odegrane w wręcz beczelnie przebojowy sposób „Just Can’t Get Enough”, „Never Let Me Down Again” i „Personal Jesus”. Ostatni rozpoczął się w sposób wolniejszy niż albumowy pierwowzór, przeciągnął moment przed refrenową frazą „reach out and touch faith”, po to, by tym potężniej uderzyć swoją energią i w świetnym stylu zakończyć występ. Wykonano także rozpoczynające koncert „My Cosmos Is Mine” i „Wagging Tongue”, „Everything Counts”, „Precious” oraz „Ghosts Again”. Nie zabrakło zatem ani przebojowości i taneczności, ani nastroju i refleksji, jak i również bardziej rockowego oblicza „Depeeszów”.

Oprawa wizualna nie oszałamiała fajerwerkami, chociaż nie sposób też nazwać jej ascetyczną. Była ona stylowa i nieprzytłaczająca. Jedynym elementem scenografii było ogromne „M” stojące za muzykami, stanowiące też część ekranu, na którym wyświetlano towarzyszące piosenkom wizualizacje. W połączeniu z przemyślaną grą świateł dobrze dopełniało to sceniczne show. Przede wszystkim jednak, jeśli chodzi o sceniczną prezentację Depeche Mode, trzeba wspomnieć o Davie Gahanie. Wokalista przez niemalże cały koncert tańczył, wirował, nawiązywał interakcje z publicznością oraz członkami zespołu. Chociaż padło z jego strony niewiele słów, nieustannie motywował zgromadzonych na arenie fanów do śpiewania, rytmicznego klaskania czy machania podczas orkiestrowego segmentu „Never Let Me Down Again”.

Patrząc na plakaty promujące „Memento Mori World Tour”, można odnieść wrażenie, że powoli zbliża się koniec kariery Depeche Mode. Z kwartetu, który odpowiada za „Violator”, została obecnie w składzie dwójka muzyków, wiek staje się dla nich w dodatku coraz bardziej dokuczliwy. Jednak zarówno energia, jak i poziom wykonawczy prezentowany na scenie pokazują, że zespół nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Entuzjastyczna reakcja ludzi na miejscu, jak i późniejsze opinie w mediach społecznościowych pozwalają stwierdzić, że fani byli zadowoleni z wydarzenia. I czekają na więcej.



Oba koncerty spotkały się z ogromnym zainteresowaniem fanów

Aleksander GRĘDA

W pełni sprawni na ekranie



Bohater filmu „Człowiek Słoń” skrywa przed ludźmi swoją swoją twarz

Na przestrzeni lat reprezentacja niepełnosprawności w kinie uległa znacznym modyfikacjom. Od wywoływania śmiechu, przez budzenie grozy, po uwznioślenie osób z dysfunkcjami. Współcześnie powoli odchodzi się od terminu „niepełnosprawność” na rzecz pojęcia „niesprawności”, ponieważ dysfunkcyjność fizyczna nie określa całokształtu osoby niesprawnej. Obraz osób z niesprawnościami w kinematografii ciągle się zmienia, na szczęście – na lepsze.

Wyróżnia się trzy modele niepełnosprawności: biomedyczny (o ułomnościach ciała), funkcjonalny (w którym akcent przypada na ograniczoną wydajność ciała; postrzegana jako przeszkoda w pełnieniu ról w przestrzeni prywatnej i publicznej) i społeczno-kulturowy (skupiający się na problemach komunikacyjnych, prowadzących do marginalizacji grup).

Początkowo bohaterów z dysfunkcjami traktowano jako źródło humoru, często pokazując na ekranie szkodliwy stereotyp ludzi zdrowych udających chorych, po to, by oszukać i wykorzystać system. To właśnie w 1898 roku powstał pierwszy film spełniający funkcję rozrywkową, w którym pojawiła się postać z anormalnością fizyczną. „The Fake Beggar” zapoczątkował stereotyp odtwarzany

przez filmowców w kolejnych dziesięcioleciach.

W latach 20. XX wieku zaczęto wpisywać zjawisko niepełnosprawności w konwencję kina gatunkowego, horroru, a osoby z dysfunkcjami portretowano jako studium zła. W 1920 roku powstał film „Kara”, w którym głównemu bohaterowi amputowano nogi. Postać ta była przedstawiana jako agresywna, demoniczna i przede wszystkim żadna zemsty. Do lat 40. osoby z niesprawnościami ulegały dehumanizacji, powstało wiele utworów nasilających tendencję do porównywania niedoskonałości fizycznej z monstrami.

Od 1946 do lat 80. tematyka niesprawności pojawiała się w kinie w kontekście wojennym. Okaleczeni żołnierze wracający z pola bitwy budzili w widzu uczucie strachu, ale także litości. W produkcji „Najlepsze lata naszego życia” główny bohater stracił dwie kończyny, przez co ukazywany był jako „nie-męski”, wstydzący się swojego ciała i niesprawny w sferach seksualnych. Społeczeństwo nie było gotowe na obcowanie z nim, traktowało go jako ofiarę, co jeszcze dobitniej wpływało na zaniżanie samooceny bohatera.

Kluczowym dziełem w dziejach kinematografii okazał się film „Człowiek słoń” w reżyserii Davida Lyncha, opowiadający historię londyńskiego medyka, który na jarmarku poznaje zniekształconego mężczyznę, stanowiącego główną atrakcję w cyrku. Zaintrygowany niezwykłym przypadkiem Johna Merricka bohater postanawia go dokładnie zbadać, odkrywając w nim pokłady wrażliwości i inteligencji. Dzieło opiera się dehumanizującym konwencjom portretowania jednostek nienormalnych, nadając bohaterowi podmiotowość. Lynch odchodzi od swojej mrocznej i surrealistycznej estetyki, aby

„Forrest Gump” w reżyserii Roberta Zemeckisa wprowadza do kinematografii nurt uwznioślający, który niesie proste przesłanie – jeśli czegoś naprawdę pragniemy, to żadna przeszkoda nie powstrzyma nas od realizacji postawionych celów. Bo tak naprawdę nie jest ważne, jak mądrzy jesteśmy czy jaki jest stan naszego zdrowia, a to, jakie mamy serce i chęci, bo właśnie tym możemy zmienić wszystko.

opowiedzieć pełną melancholii prawdę o człowieku. Twórczość reżysera inspiruje do dziś, co widać doskonale na przykładzie mającego premierę na festiwalu filmowym Berlinale najnowszego filmu Aarona Schimberga. „A Different Man” to igrająca z oczekiwaniami widza historia mężczyzny chorującego na deformującą twarz nerwiakowłóknikowość.

W 1975 roku Miloš Forman zaprezentował światu film, który dzisiaj należy do najbardziej znanych produkcji wszech czasów. „Lot nad kukułczym gniazdem” kojarzymy przede wszystkim z ikoniczną rolą Jacka Nicholsona, za którą został uhonorowany swoim pierwszym Oscarem. Obraz opowiada o Randle'u Patricku McMurphy, mężczyźnie udającym niezrównoważonego psychicznie, by uniknąć więzienia. Ostatecznie trafia do szpitala psychiatrycznego, gdzie władzę sprawuje siostra Ratched (Louise Fletcher grająca tę rolę otrzymała Oscara, a jej kreacja aktorska była na tyle wiarygodna, że zdarzały się nieprzyjemne incydenty, w których spotykani na ulicy ludzie pluli jej w twarz). Dzieło Formana, oparte na powieści Kena Keseya, nie tyle skupia się na ukazaniu osób z niesprawnościami psychicznymi, co stanowi metaforę samej choroby. Szpital, w którym znajdują się bohaterowie, przypomina obóz koncentracyjny, perso-

nel z totalitarnymi rządami siostry Ratched ustala własne zasady, a nikt z zewnątrz nie podważa jej działań. Kobieta manipuluje podopiecznymi, na każdym kroku podkreślając swoją dominację, co tylko przyczynia się do pogorszenia stanu zdrowia pacjentów. To, co szczególnie zauważalne jest w filmie, to symbolika opresyjnej polityki. Osoby z niepełnosprawnością psychiczną nie były w stanie zbuntować się wobec siostry Ratched, a ich planowanie ucieczki pod przywództwem Murphy'ego jest próbą unaocznienia, że jednostki społeczne nie są w stanie walczyć z systemem. W finałowej scenie widzimy ucieczkę jednego z pacjentów placówki, którą poprzedza śmierć dwóch bohaterów filmu.

„Forrest Gump” w reżyserii Roberta Zemeckisa wprowadza do kinematografii nurt uwznioślający, który niesie proste przesłanie – jeśli czegoś naprawdę pragniemy, to żadna przeszkoda nie powstrzyma nas od realizacji postawionych celów. Bo tak naprawdę nie jest ważne, jak mądrzy jesteśmy czy jaki jest stan naszego zdrowia, a to, jakie mamy serce i chęci, bo właśnie tym możemy zmienić wszystko. Historia Forresta ma charakter autobiograficzny, oparta jest na prostym schemacie: bohater opowiada nam o swoim życiu aż do teźniejszości. Opowiada ją jako dojrzały mężczyzna, zdradzający

już od samego początku oznaki choroby fizycznej, lekkiego autyzmu i naiwności. Szczególnym aspektem filmu jest manewrowanie między komizmem a tragizmem. Protagonista od samego początku wzbudza w widzu szczerą sympatię, a przypadkowe sytuacje, w których zostaje mistrzem ping-ponga albo niezwykle szybko składa karabin maszynowy, dostarczają wiele uśmiechu.

Równoległe do historii Foresta toczą się losy Jenny, jego przyjaciółki z dzieciństwa, później żony i matki ich syna. Dreczona i molestowana seksualnie przez ojca alkoholika w dzieciństwie, w dorosłym życiu brnęła w związki z mężczyznami nieodpowiedzialnymi. Uciekając przed bólem w narkotyki, rozpaczliwie poszukiwała akceptacji, do końca pielęgnując w sobie naiwne marzenia o karierze scenicznej. Niesprawność Gumpa w pewnym momencie seansu przestaje być zauważalna. Bohater staje się wielkim człowiekiem swojej epoki, będąc uwikłany w wielkie działania polityczne potężnych mocarstw: walczy w Wietnamie, jest świadkiem zmagania Afroamerykanów z segregacją rasową, uczestniczy w tytanicznym gospodarczym wysiłku, niosącym Amerykanom dobrobyt i bogactwo oraz eksploruje zasoby środowiska oraz wspiera rozwój nowych technologii.

Ciekawym obrazem niepełnosprawności w kinie okazała się ekranizacja powieści Jojo Moyes, zatytułowana „Zanim się pojawię”. Książka, podobnie jak film, ze zręcznością manewruje między komedią a melodramatem. Historia Willa Traynora, który po wypadku na motocyklu został sparaliżowany od szyi w dół, przedstawia fałszywy obraz niepełnosprawności. Problem leży tu w sytuacji materialnej, bowiem dla uprzywilejowanego bogacza, który może pozwolić sobie na opłacenie specjalistycznego sprzętu, własnego pielęgniarza oraz opieki, niesprawność jest znacznie mniej uciążliwa, niż dla przeciętnego człowieka. Film spotkał się z miesznanymi recenzjami, szczególnie przez jego zakończenie, w którym główny bohater podaje się eutanazji. Wielu widzów zarzucało produkcji to, że powieli przekonanie mówiące, że osoby z niesprawnościami nie mają celu w życiu, bo nigdy nie będą w stanie pokonać przeszkód związanych ze swoją dysfunkcją. Jednakże należy przyznać, że narracja jest prowadzona tu w taki sposób, że niesprawność Willa schodzi na drugi plan, zwalniając miejsce dla klasycznej historii miłosnej z obdarzonym naturalną chemią filmową duetem. Produkcja nie próbuje na siłę wzbudzać smutku u widza, a raczej udowadnia, że potrzeba ogromnej siły i determinacji do tego, by codziennie zmierzać się ze swoimi słabościami.

Między Scranton a Adamczychą

Zanim w serwisie YouTube pojawił się oficjalny zwiastun „1670”, produkcje realizowane przez Netflix nie wzbudzały dotychczas przesadnego entuzjazmu recenzentów. Brak oczekiwań wróżących sukces wyrósł z cienia poprzednich, nieszczęśliwie udanych seriali komediowych macierzystego rynku. Satyryczna opowieść o ikonicznym, przesyconym stereotypami okresie polskiej historii odważnie przełamała złą passę.



Bartłomiej Topa perfekcyjnie oddaje rubasność polskiej szlachty.

Konwencja mockumentary nie była – i nie jest – w Polsce nadmiernie eksploatowana, ponieważ eksperymentalnych przykładów jej wykorzystania można doliczyć się na palcach jednej ręki. Pierwszym jest „Selfie po polsku” w reżyserii Mariusza Pujso, o którym należy wspomnieć wyłącznie z kronikarskiego obowiązku. Dobrych wzorów do naśladowania trzeba szukać aż w Stanach Zjednoczonych, gdzie listę seriali może otworzyć „Parks and Recreation” czy „Modern Family”.

Wydaje się, że „1670” to z popularnego „The Office” czerpie najwięcej, ubierając sarmacką rzeczywistość w poczucie humoru i manierę rodem z biura Dunder Mifflin. Trzeba przyznać, że Jan Paweł bywa równie nietaktowny co Michael Scott. Drastycznie różniące się realia obu produkcji nie przeszkadzają w znalezieniu punktów wspólnych, za co po części odpowiedzialna jest specyfika gatunku. Trzymanie się konwencji to zaledwie połowa sukcesu, ponieważ zbudowanie pewnej konstrukcji fabularnej zależy również od pomysowości ekipy produkcyjnej i doboru obsady, choć pełne zrozumienie fenomenu wspomnianych realizacji jest możliwe tylko, gdy odrobimy dodatkową pracę domową.

Mechanizm u podstaw

Każdy przekaz wchodzący w skład komunikowania masowego ma charakter symboliczny, dlatego serial „1670” można analizować przy użyciu koncepcji opracowanej przez niemieckiego filozofa Ernsta Cassirera, autora książki „Filozofia form symbolicznych”. Badacz zwraca w niej uwagę na fakt, że

„W obu serialach z łatwością znajdziemy sceny oderwane od zaplecza istniejących tekstów kultury, które z perspektywy czasu stały się ikoniczne. Premiera pierwszego sezonu polskiej produkcji miała miejsce zaledwie cztery miesiące temu i dziś trudno stwierdzić z całą pewnością, że zapisze się na stałe w pamięci widzów, choć prognozy ku temu są obiecujące.

najlepszy odbiór jest możliwy wtedy, gdy odbiorca przekazu doskonale zna współtworzący produkt kontekst kulturowy.

Historia tocząca się w szlacheckiej Polsce jest w pełni zrozumiała głównie dla rodzimych odbiorców, choć nie należy uważać tej cechy za determinującą gatunek mockumentary, skoro już w przypadku „The Office” nie jest to konieczne. Tam mamy styczność ze współczesnością, epoką stosunkowo łatwiejszą do identyfikacji, o niemal nieograniczonym zakresie międzynarodowym. Geograficzne i historyczne bariery państw nie utrudniają raczej zrozumienia żartu z dziurkaczem zanurzonym w cytrynowej galaretki. Z kolei serial napisany przez Jakuba Rużyło (odpowiedzialnego m.in. za „Sexify” i „The Office PL”) nie ułatwia zagranicznym widzom interpretacji, dostarczając wy-cinek ery stanu szlacheckiego w formie przesiąkniętej groteską, archaizmami i staropolską tradycją. Dzięki wizji Cassirera możemy przyjąć, że symbolem łączącym obie produkcje jest humor, pozwalający szerokiemu spektrum odbiorców łatwiej dostosować się do prze-

kazu. Niezależnie od tego, czy wejdziemy w skórę sprzedawcy papieru, czy też szlachcica z wybujałym ego, ekosystem panujący wewnątrz fabuły będzie przyjemniejszy w odbiorze.

Seriale jak cebula

Konstrukcja przekazu w komunikowaniu masowym nie opiera się wyłącznie na regule dostępności zarezerwowanej dla danej grupy społecznej. Symbol sam w sobie można traktować jako pustą przestrzeń przygotowaną do nadania wybranego znaczenia, co wykorzystali również twórcy powyżej omawianych seriali. Przyjęcie takiego podejścia sprawia, że przypadek „1670” jest o tyle intrygujący, o ile będziemy świadomi poziomu skomplikowania procesu przenoszenia współczesnej perspektywy do czasów Polski szlacheckiej w praktycznie niezmiennym formie. Stosunkowo częściej możemy spotkać odwrotny zabieg: gdy twórcy filmowi sprowadzają figurę historyczną do obecnych realiów. Buchwald i Rużyło byli poniekąd zmuszeni do zastosowania tego przewrotnego rozwiązania, dlatego tym bardziej,

należy mieć na uwadze ich staranność w zachowaniu logiki twórczej w wymagających warunkach, jakim jest akcja „1670”.

Jednym z najbardziej rzucających się w oczy przykładów jest imię głównego bohatera, który przez cały sezon stara się zasłużyć na miano najsłynniejszego Jana Pawła w historii Polski. Jest to oczywiście nawiązanie do popularnego obecnie trendu wykorzystywania w kulturze i memosferze wizerunku papieża z Wadowic i jego dawnych wypowiedzi. Stylizacja postaci granej przez Bartłomieja Topę ze smakiem wypukła jednoznacznie sprzeczności i różnice, jakie dzielą ją od papieskiej inspiracji. Nie jest to jedyne odwołanie do instytucji kościelnej, ponieważ na przełomie ostatnich odcinków na ekranie pojawia się postać mnicha – detektywa Mateusza. W „The Office” na prowadzenie wysuwają się odniesienia do „Ojca Chrzestnego”, wywołane głównie za sprawą zachowania Michaela Scotta, który już od początku pierwszego sezonu próbuje udowodnić swoją władzę i wartość w oczach innych. Punktem kulminacyjnym tej strategii jest w końcu naśladowanie zachowań Mirandy Priestley, surowej szefowej z filmu „Diabeł ubiera się u Prady”.

W obu serialach z łatwością znajdziemy sceny oderwane od zaplecza istniejących tekstów kultury, które z perspektywy czasu stały się ikoniczne. Premiera pierwszego sezonu polskiej produkcji miała miejsce zaledwie cztery miesiące temu i dziś trudno stwierdzić z całą pewnością,

że zapisze się na stałe w pamięci widzów, choć prognozy ku temu są obiecujące. Trzeba wspomnieć o frazie „hop, hop, hop”, przewijającym się na przestrzeni całego sezonu kilkakrotnie jako sygnał przywołania chłopów do porządku, a także doskonale oddanym stereotypie duchownego, traktującego swoją funkcję jako „pracę zdalną w międzynarodowej korporacji”. Biuro Dunder Mifflin również dostarczyło widzom wielu wartych zadowolenia scen jak żart o kradzieży tożsamości lub charakterystyczny taniec na ślubie Jima i Pam.

Poniekąd manipulacyjne spełnianie naszych potrzeb emocjonalnych oraz bazowanie na społecznie utrwalonych przekonaniach i stereotypach skraca dystans w relacji nadawcy i odbiorcy, nadając jej poczucie bliskości. W konsekwencji oznacza to zmianę charakteru komunikacji, co przekłada się także na popularność produkcji. Stosunkowo łatwiej przywiązać się nam do serialu, gdy twórcy zwracają się do nas bezpośrednio.

Sztuka „memowania”

Każde dopasowane sytuacyjnie odniesienie do popkultury ma wzmocnić intuicyjne działania przekazu na odbiorcę. Im jest ich więcej, tym większe prawdopodobieństwo, że ów nawiązanie zachowa się na dłużej zarówno w przestrzeni medialnej, jak i podświadomości widza. Warunkiem przedostania się do kanonu jest uniwersalność przekazu, a budujący go kod musi opierać się na znanych nam wartościach, obrazach lud ideach, dzięki którym swobodnie komentujemy rzeczywistość.

Jest to jeden z efektów krótkiego dystansu między serialem a odbiorcą. Wiemy już, że bliższy kontakt oznacza silniejsze utożsamienie się z treścią tekstu kultury. Ekspresyjny krzyk Michaela Scotta, zaskoczone ponownym pojawieniem się w pracy jego zacieklego wroga z działu HR, bywa często wykorzystywany w filmikach i memach w przeróżnych kontekstach. Na podobnej zasadzie działa fraza wypowiedziana przez Jana Pawła, który każe jednemu z bohaterów wyświadać się z absurdu pomysłu. Takim symbolem możemy nadawać dowolne znaczenie niemal w nieskończoność, dopasowując je wedle własnego upodobania.

„The Office” i „1670” to nadal seriale diametralnie różniące się od siebie, ale w istocie stworzone na wspólnym gruncie. Oparte na określonej fabule i konwencjach są otwarte na interpretację i medialne wykorzystanie przez odbiorcę. Wychodzą widzowi naprzeciw i pozwalają połączyć rozrywkę z obfitymi nawiązaniem kulturowymi.

Oliwia GÓRSKA

Heroski Jamesa Camerona

James Cameron zyskał sobie status reżysera kultowego za sprawą zaskakującej i nietypowej technologii, którą konsekwentnie stosuje w niemal wszystkich swoich filmach. Na początku lat osiemdziesiątych stworzył projekt statku kosmicznego do filmu „Bitwa wśród gwiazd”, który stał się słynny na planie jako „Statek kosmiczny z pierściami” („Spaceship with tits”), co mogło zwiastować nadchodzące projekty Camerona. Cała jego twórczość poświęcona jest łączeniu szeroko pojętej kobiecości oraz technologii.



Kobiece bohaterki stanowią centralną oś wielu produkcji Camerona

Kanadyjczyk jest jednocześnie reżyserem, scenarzystą, producentem, montażystą oraz konsultantem efektów specjalnych. Można powiedzieć, że cechuje go megalomania, przejawiająca się w obsesji nad kontrolowaniem każdego etapu produkcji filmowej. Swoją karierę w branży filmowej rozpoczął od wyreżyserowania krótkometrażowej produkcji „Xenogenesis”. Później współpracował przy projekcie „Pirania II: Latający mordercy”, jednak ze względu na różnice artystyczne Cameron nie uznaje tego dzieła za część swojej biografii. Przede wszystkim reżyser nie chciał tworzyć dzieła o zabarwieniu erotycznym. W międzyczasie rozpoczął prace nad scenariuszem do kolejnego filmu, który przyniósł mu międzynarodową sławę.

Transformacja w wojowniczkę

W „Terminatorze” można dostrzec cechy wyjątkowe, które uczyniły go jednym z najbardziej ikonicznych dzieł w historii kinematografii. Opowieść o zmuszonej do walki z cyborgiem z przyszłości Sarah Connor szybko stała się powszechnie rozpoznawalnym motywem. Wybitna kreacja Arnolda Schwarzeneggera, słynna kwestia protagonistki – „You are terminated, fucker” i dopracowane efekty specjalne na zawsze zapisały się w kulturze filmowej. Jednak to, co szczególnie zasługuje na uwagę, to wielowymiarowe kobiece postacie. Sarah Connor przechodzi najbardziej znaczącą transformację, ewoluując z niepewnej siebie kelnerki do wojowniczkę, gotowej stawić czoła swojemu oprawcy. Protagonistka odnajduje w sobie niezwykłą siłę, aby ostatecznie zniszczyć Terminatora w pojedynkę. W ostatniej sekwencji produkcji bohaterka dokumentuje swoją wiedzę na temat ter-

minatorów, nagrywając taśmy dla swojego syna. Nagrania te miały dla niej również charakter terapeutyczny, pomagając jej przetrawić traumę, którą przeżyła. Ten akt samoświadomości oraz dojrzałości świadczy o głębokim zrozumieniu, zarówno misji matki przyszłego lidera ruchu oporu, jak i jej własnej roli jako jednostki w świecie zagrożonym przez maszyny.

Zmiany w postaci dobitniej zauważalne są w drugiej części „Terminatora”, gdzie po nieśmiałej kelnerce nie ma już śladów. Przetrzymana w szpitalu psychiatrycznym i z odebrnymi prawami rodzicielskimi bohaterka ponownie staje do walki z Terminatorem. Rozprawa się z molestującym ją pielęgniarzem i ucieka z placówki, aby ochronić syna przed cyborgiem. Ciekawym zabiegiem było to, że Sarah przestała emanować ciepłem i wrażliwością, w zamian stając się żołnierzem skupionym na misji ratowania świata.

Jedyna ocalała

Ellen Ripley stanowi archetyp superbohaterki, który również ewoluuje wraz z rozwijającą się serią filmową. W pierwszej części serii „Obcy”, wyreżyserowanej przez Ridleya Scotta, protagonistka jest jedyną ocalałą z załogi statku, co umacnia jej rolę jako symbol siły i determinacji. W kontynuacji autorstwa Camerona, postać Ripley zostaje wzbogacona o aspekt życia rodzinnego, który był nieobecny w „Ósmym pasażerze Nostromo”. Wersja reżyserska podkreśla szczególnie ten motyw, co nadaje dziełu charakter dramatu rodzinnego w ramach konwencji kina akcji i horroru.

Ripley, wraz z ekipą ratunkowo-badawczą, odnajduje na zniszczonym statku małą dziewczynkę – Rebekę, w której dostrzega utraconą córkę. Nawiązuje z nią silną więź

Bohaterką, która łączy w sobie wszystkie heroiczne cechy protagonistek z filmów Camerona jest Rose DeWitt Bukater. Postać pasażerki Titanica rozwija się tak jak Sarah – początkowo nie odstaje od swojej grupy społecznej, dopiero kiedy poznaje Jacka dostrzega wewnętrzne dylematy i zdaje sobie sprawę z tego, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła. Terroryzowana przez szowinistycznego narzeczonego i atakowana przez protekcyjną matkę Rose odnajduje w nowo poznanym towarzyszczu zrozumienie.

emocjonalną, przez co dobro dziecka staje się dla niej priorytetem. Cameron daje Ellen możliwość odbudowy rodzinnych relacji w zupełnie nowych warunkach, unikając stereotypizacji superbohaterki jako wyłącznie sprawnie posługującej się bronią heroski. Ripley jest raczej alegorią pracującej kobiety, balansującej pomiędzy życiem rodzinnym a zawodowym, co nadaje jej postaci bardziej złożony charakter.

W 1989 roku na ekrany kin weszła kolejna produkcja Jamesa Camerona, zatytułowana „Otchłań”. W tym dziele centralną postacią jest Bud Brigman, kapitan podwodnej stacji wiertniczej, charakteryzujący się przywódczymi cechami, otwartością oraz skłonnością do dialogu i uczuciowości, co z pewnością stanowi kontrast dla stereotypowych ikon kultury popularnej, takich jak Rambo. Jego opór wobec działań żołnierzy dążących do wydobycia głowic nuklearnych pozostaje minimalny, co pokazuje, że Bud zachowuje swoją wrażliwość nawet w ekstremalnych warunkach. Postacią o większej charyzmie jest jednak jego żona, Lindsey, która, odkąd tylko pojawia się na ekranie emanuje siłą charakteru. Bezpośrednia i skupiona na eksploracji głębin, Lindsey sprzedaje każdą „chamską” ripostę z pewnością siebie, podkreślając swoją wiedzę i dominującą pozycję.

Cameron przetrzuca emocjonalną warstwę filmu na postać Buda. To on popada w rozpacz, gdy myśli, że stracił miłość swojego życia. Scena zasługująca na uwagę to ta, w której protagonista trafia na dno oceanu. Wówczas bohater komunikuje się z Lindsey poprzez komunikator tekstowy za pomocą klawiatury umocowanej na dłoni. Z każdą sekundą, gdy zniża się coraz bardziej, jego wiadomości stają się coraz intymniejsze, uzewnętrzniając jego uczucia wobec oschłej żony.

Zbuntowana arystokratka

Bohaterką, która łączy w sobie wszystkie heroiczne cechy protagonistek z filmów Camerona jest Rose DeWitt Bukater. Postać pasażerki Titanica rozwija się tak jak Sarah – początkowo nie odstaje od swojej grupy społecznej, dopiero kiedy poznaje Jacka dostrzega wewnętrzne dylematy i zdaje sobie sprawę z tego, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła. Terroryzowana przez szowinistycznego narzeczonego i atakowana przez protekcyjną matkę Rose odnajduje w nowo poznanym towarzyszczu zrozumienie. Ikoniczna scena, w której protagonistka krzyczy „Jack, ja lecę” jest metaforą transformacji nowoczesnej kobiety. Choć jej postępowanie z punktu widzenia współczesnego widza wydaje się zupełnie racjonalne, to jednak wzięwszy pod uwagę

ówczesny kontekst społeczny, jej postawa nosi wszelkie znamiona superbohaterki. Rose otrzymuje od Camerona większą niezależność i pewność siebie, pozostając przy tym równie wrażliwa i emocjonalna. Sprzeciwia się wobec społeczności arystokratów, dzielnie dążąc do podejmowania własnych wyborów. Rose przeobraża się w swego rodzaju superheroinię, kiedy Titanic zderza się z górą lodową, a Jack zostaje uwięziony pod zalewającym się pokładem. Wówczas bohaterka przepływa dolne korytarze statku, aby uratować swojego ukochanego.

Natomiast w partnerze Rose, Jacku Dawsonie, można dostrzec odstępstwo od powszechnie przyjętej definicji męskości, która była utrwalona w kinie na przestrzeni lat. Charakteryzują go spontaniczność i wrażliwość, cechy stojące w sprzeczności ze stereotypowym obrazem macho. Dodatkowo, akt pozbawienia go męskości przez narzeczonego Rose manifestuje się w sytuacji, gdy ów naręczony zwraca się do niego w sposób, który implikuje brak zainteresowania jego udziałem w rozmowie: „Będziemy rozmawiać o polityce i interesach, więc raczej nie byłbyś zainteresowany”. Ten akt wykluczenia ukazuje nie tylko różnice klasowe, ale również brak uznania go za pełnoprawnego mężczyznę. Ponadto, należy zauważyć, że wizerunek Leonarda DiCaprio, wcielającego się w postać Jacka, został poddany takiemu samemu procesowi uprzedmiotowienia, który wcześniej dotyczył ciał aktorek.

Cameron, chociaż reprezentuje hollywoodzki mainstream, ma na swoim koncie kreacje postaci, które inspirowały i przecierają kulturowe szlaki. Redefiniują tradycyjne role płciowe i pozwalają widzkom dostrzec siebie w wizerunkach herosów, których losy przedstawia w swoich produkcjach Kanadyjczyk.

Szymon FILIPIAK

Seria książek autorstwa Ricka Riordana „Percy Jackson i Bogowie Olimpijscy” zdobyła serca czytelników na całym świecie. Niedawno Disney postanowił przenieść tę niezwykłą opowieść na ekrany w formie serialu. Fanów sagi literackiej czeka intensywna podróż do świata greckiej mitologii, wzbogacona o zakrapiany magią styl znanej wytwórni. Serialowi już w pierwszym tygodniu udało się zgromadzić ogromną widownię, przynosząc streamingowemu gigantowi rekordowe wyniki.

Serial „Percy Jackson i Bogowie Olimpijscy” opowiada historię młodego chłopaka, tytułowego Percy’ego Jacksona, który odkrywa swoje nadprzyrodzone moce i dowiaduje się, że jest półbogiem – potomkiem greckiego boga Posejdona. Zdolności Percy’ego prowadzą go do Obozu Herosów, miejsca schronienia dla potomków bogów, gdzie spotyka rówieśników, będących w takiej samej sytuacji jak on. Tam rozpoczyna swoją przygodę pełną niebezpieczeństw, przyjaźni i miłości.

Przeniesienie sagi na ekran było dla fanów pierwowzoru jednym z najbardziej wyczekiwanych wydarzeń roku. Jednakże dla tych, którzy są już zaznajomieni z książkami, pytanie brzmi: czy Disney zachował esencję oryginału? Apetyt wiernych wielbicieli serii był szczególnie duży po dość nieudanych filmach z 2010 i 2013 roku. Tym razem przy pracach nad scenariuszem brał udział sam Rick Riordan, co od razu stanowiło zapowiedź lepszej jakości adaptacji oraz zrozumienia postaci, jak i całego świata stworzonego przez autora.

Od momentu ogłoszenia powstania adaptacji fani z zapartym tchem śledzili wszelkie informacje związane z powstającym serialem. Szczególne emocje wzbudził oczywiście wybór aktorów, który pod względem adekwatności do literackich postaci okazał się nienajlepszy. Odejście od wyglądu bogów, jaki pamiętamy z książek można wybaczyć, w końcu mogą przybrać dowolną formę, jednak aparycja herosów często była powiązana z ich boskim rodowodem oraz konkretnymi atrybutami czy mocami.

Percy Jackson został opisany w książkach jako chłopiec o czarnych, wiecznie zmierzwiionych włosach i oczach o morskim odcieniu. W zamian, dostaliśmy Walkera Scobella, który mimo dobrej gry aktorskiej

Olimpijska rekompensata czy kolejny zawód?



Serial na podstawie książek Riordana bije rekordy popularności

„Po masakrze fabularnej w filmowych adaptacjach, serial pod tym względem prezentuje się fantastycznie. Najważniejszym wątkiem jest przydzielenie misji Percy’emu, wizyta u wyroczni oraz sam przebieg podróży bohatera. W wersji z 2010 roku pierwszych dwóch wątków niestety zabrakło, a samo podjęcie się misji przedstawiono jako spontaniczną decyzję protagonisty.

ani trochę nie wpisuje się w aparycję syna Posejdona. Jego intensywnie jasnoniebieskie spojrzeniem oraz burza złotych loków wpasowuje się bardziej w typ urody Pana Nieba, przykładowo w młodszą wersję Jasona Grace z serii kontynuującej opowieść, czyli „Bogów Olimpu”. W podobny sposób obsadzono aktorów do ról Luke’a Cas-

tellana i Annabeth Chase, czyli na zasadzie kompletnego kontrastu. Widzowie pod tym względem mogą być niezadowoleni, zwłaszcza ci, którzy obietnicę twórców o wiernym odwzorowaniu książek wzięli sobie do serca. W końcu wygląd bohaterów był jednym z podstawowych kryteriów, a casting w kinie sci-fi nie należy raczej do najtrud-

niejszego etapu w procesie produkcji.

Wreszcie sukces?

Po masakrze fabularnej w filmowych adaptacjach, serial pod tym względem prezentuje się fantastycznie. Najważniejszym wątkiem jest przydzielenie misji Percy’emu, wizyta u wyroczni oraz sam przebieg podróży bohatera. W wersji z 2010 roku pierwszych dwóch wątków niestety zabrakło, a samo podjęcie się misji przedstawiono jako spontaniczną decyzję protagonisty. Późniejsze przygody zmieniono natomiast kompletnie. Było jednak kilka epickich scen, które aż prosiły się o odtworzenie w serialu, np.: słynny pobyt w kasynie Lotos w rozbrzmiewającym w tle „Poker Face”



Obsada filmowa znacząco różni się od tej serialowej

Lady Gagi. Jednak, jak można było już wywnioskować po wcześniejszych słowach Ricka Riordana, ten wątek w nowszej adaptacji się nie pojawił. Jedną z przyczyn z pewnością jest dostosowanie treści do młodszych widzów platformy Disney+, w tym przypadku serial oznaczono kategorią 12+. Z tego powodu też inne sceny m.in. w salonie Prokrustesa czy Hadesie zostały znacznie złagodzone.

Uproszczenie ostatnich etapów misji okazało się strzałem w kolano. Z perspektywy czasu, wydaje się, że twórcy nie przemyśleli wystarczająco scenariusza, chcąc zmieścić w krótkim czasie jak najwięcej scen akcji. Podczas pobytu w sklepie z łózkami wodnymi Percy od razu wie, kim jest właściciel, a przecież w oryginalnej wersji to pułapka, z której bohater ledwo uchodzi z życiem. Kolejny zmieniony wątek dotyczy historii i zachowań ojczyma herosa, który w produkcji Disneya został bardzo spłycony. Jednym z ważniejszych momentów pokazania „buntowniczej żyłki” Sally Jackson jest wykorzystanie głowy Medusy do pozbycia się Gabe’a Ugliano – jak możecie się domyślić, w serialu tego wątku nawet nie poruszono. Właśnie z tych powodów film, choć fatalny pod względem odwzorowania fabuły, o wiele lepiej oddaje charakter bohaterów serii. Dotyczy to szczególnie syna Posejdona, którego grał Logan Lerman, znacznie bardziej pasujący do buntowniczej i dość problematycznej natury półboga. W wersji Walkera Scobella, scenarzyści podkreślili natomiast jego wrażliwość i zdolność do poświęceń.

Mimo wad, „Percy Jackson i Bogowie Olimpijscy” jest powszechnie uważany za hit (na portalu IMDB średnia ocen użytkowników wynosi 7,1). Już w ciągu pierwszych sześciu dni zgromadził 13,3 milionów widzów, w tym momencie wyprzedza go tylko seria Marvela oraz Gwiezdznych Wojen.

Wierni fani książek Riordana docenią wierność wobec oryginału, może ich jednak czekać zawód castingowy czy „disneyowski” efekt, czyli dostosowanie treści do młodszych odbiorców. Ta kwestia może okazać się problemem w realizacji następnych części, zwłaszcza, że z każdym sezonem bohaterowie stają się rok starsi, a w ostatnim są już szesnastolatkami. Jeśli Disney nadal będzie trzymał się swojej obietnicy o poszanowaniu literackiego pierwowzoru, seria może odnieść jeszcze wiele sukcesów. Z niecierpliwością możemy wyczekiwać ogłoszonego już drugiego sezonu serialu.

Oliwia MAZIOPA

Griselda Blanco oczami Netflix

„Jedynym człowiekiem, którego się bałem, była kobieta, Griselda Blanco” – tak o bohaterce serialu Netflix mówił sam Pablo Escobar. Nowa produkcja twórców „Narcos” wzbudziła niemałe kontrowersje. Niezależnie od tego, jak jest oceniana, ta fascynująca opowieść o kobiecie, która na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku rządziła podziemiem narkotykowym w Miami, zasługuje na uwagę.

La Madrina, La Viuda Negra, Czarna Wdowa, Matka Chrzestna, Dama Mafii – to tylko kilka z wielu przydomków Griseldy Blanco. Choć biografia Kolumbijki przyprawia o dreszcze, nowa produkcja Netflix ze zjawiskową Sofią Vergarą przedstawia historię jej życia w sposób iście dualistyczny. Z jednej strony jawi się jako gangsterka, baronessa narkotykowa i bezwzględna zabójczyni, z drugiej – jako kochająca matka oraz życzliwa, zawsze pomocna kobieta, przez lata nierozumiana i krzywdzona przez otaczający ją męski świat południowoamerykańskich karteli.

Griselda Blanco urodziła się w 1943 roku w Cartagenie de Indias, jednak dorastała w Medellin w Kolumbii. Warunki życiowe, w jakich dorastała, skłoniły ją do podjęcia pracy seksualnej, czym zajmowała się do dwudziestego roku życia. Po zakończeniu tego etapu, Blanco założyła rodzinę i urodziła trzech synów – Dixona, Ubera i Osvalda. Wraz z drugim mężem, Alberto Bravo, zajmowała się przemysłem kokainy do Stanów Zjednoczonych. Kobieta już od 1975 roku była na celowniku amerykańskich służb, jednak z sukcesem ukrywała się i jednocześnie rozwijała swoje narkotykowe imperium przez następne 10 lat. W międzyczasie znalazła również miłość i urodziła czwartego syna – Michaela Corleone Blanco. Można pokusić się o stwierdzenie, że nawet po aresztowaniu w 1985 roku miała sporo szczęścia, gdyż pomimo brutalnych zbrodni, do popełnienia których się przyczyniła, wyszła na wolność w 2004 roku. Po odbyciu kary w Stanach Zjednoczonych powróciła do Kolumbii, gdzie zmarła w wieku 69 lat w 2012 roku.

Griselda Blanco zarówno w serialu, jak i w rzeczywistości jawi się jako kobieta niezwykle tajemnicza. Nie bez powodu zdobyła tytuł królowej narkotykowego podziemia



Blanco w stosunku do synów była kochającą matką

Miami. Swoją brutalnością i bezwzględnością potrafiła pokonać każdego mężczyznę, który stanął na jej drodze na szczyt. W produkcji Netflix Vergara potrafi w taki sposób zmanipulować i uwieść otaczających ją ludzi, że sama praktycznie nie ma krwi na rękach. Jednocześnie jest samotną matką trzech dorastających synów, a każde swoje przestępcze działanie motywuje miłością i troską o chłopców. Od samego początku życia w Miami nie potrafi, a może i nie chce zaro-

” W rolę głównej bohaterki wcieliła się Sofia Vergara, dla której udział w produkcji był, jak twierdzi, zupełnie nowym doświadczeniem. Wcześniej aktorkę można było oglądać w produkcjach komediowych, takich jak „Współczesna Rodzina”.

bić na utrzymanie siebie i synów inaczej, aniżeli poprzez działalność w narkotykowych kartelach.

Sama produkcja jest iście brutalna i krwawa, lecz jej konstrukcja pozwala widzowi w interesujący i

harmonijny sposób obserwować drogę Blanco na szczyt, a także jej późniejszy upadek. Powtarzające się sceny, zachowania i reakcje głównej bohaterki ukazują dynamikę charakteru Griseldy, zmie-

niającego się wraz ze zwiększaniem jej wpływów w narkotykowym Miami. Historia Blanco przedstawiona przez Netflix niewątpliwie może pozostawić widza z mieszanymi odczuciami. Z jednej strony produkcję można uznać za kolejny przypadek idealizowania seryjnych morderców i psychopatów, z drugiej zaś historia głównej bohaterki może uchodzić za wyjątkową na tle społeczeństwa, w którym żyła. W sześciu odcinkowej serii niejednokrotnie podkreśla się, że to nieprawdopodobne, aby „robić takie interesy z kobietą”. W końcu Griselda całe swoje imperium zdołała zbudować sama, w obcym kraju.

Troszcząc się o swoich rodaków w Stanach Zjednoczonych, dając pracę w kartelu najbardziej potrzebującym oraz pomagając rodzinom swoich żołnierzy narkotykowych, Blanco potrafiła bez zastanowienia wydawać nakazy zabicia nawet najwierniejszych współpracowników, jeśli tylko któryś z nich zagrażał jej pozycji lub nie okazywał jej wymaganego respektu.

W rolę głównej bohaterki wcieliła się Sofia Vergara, dla której udział w produkcji był, jak twierdzi, zupełnie nowym doświadczeniem. Wcześniej aktorkę można było oglądać w produkcjach komediowych, takich jak „Współczesna Rodzina”. Przeskok do kryminalnego dramatu jest zarówno dla samej Vergary, jak i dla jej fanów szokiem, ale aktorka poradziła sobie z rolą kolumbijskiej Czarnej Wdowy doskonale. Sama pochodzi z Kolumbii i wspomina, że kiedy dorastała, słyszała historie o kartelach Blanco czy Escobara, ale historie te dla zwykłego Kolumbijczyka zawsze wydawały się być miejskimi legendami. Vergara do wcielenia się w postać Griseldy musiała poddać się wielogodzinnej charakterystyce, co wspomina jako wyczerpujące i utrudniające grę aktorską. Nie chciała jednak, aby widz w postaci śmiertelności przywódczyni kartelu dostrzegł zabawną glorię ze „Współczesnej Rodziny”, dlatego tłumaczy, że skomplikowany proces charakterystyki był dla niej kluczowy do wcielenia się w rolę Blanco. Obok Sofii w serialu zobaczymy również kolumbijską piosenkarkę Karol G oraz kubańczyka Alberto Guerra.

Działania przestępcze Griseldy Blanco miały kolosalny wpływ na wojnę narkotykową w Miami i skutkowały śmiercią setek osób. Jej najmłodszy syn w wywiadzie dla DailyMail wspomina, że: „zawsze była piękną kobietą. Ale, oczywiście, 26 lat więzienia postarza człowieka. Nie była święta, ale (...) była gwiazdą i królową”. Taką właśnie Griseldę Blanco przedstawiają nam twórcy serialu Netflix.



Sofia Vergara w roli Griseldy pokazuje się aktorsko od zupełnie nowej strony

Zuzanna ZAREMBA

AC/DC rusza w świat!

Stało się! Ziemia zadrży, a z nią serca milionów fanów z całego świata. Po fali plotek, spekulacji i wycieków, 12 lutego legenda ciężkiego brzmienia ogłosiła, pierwszą od 2016 roku, trasę koncertową. Gdzie wystąpi? W jakim składzie? Czego możemy się spodziewać, patrząc na występ zespołu podczas Festiwalu Power Trip? Jak na przestrzeni lat wyglądał powrót legendy? Sprawdzamy i wspominamy, w gotowości na nowe!

W 2016 roku, w trakcie trasy „Rock or Bust World Tour”, z powodu niemal całkowitej utraty słuchu z zespołu AC/DC odejść musiał Brian Johnson, którego podczas pozostających koncertów zastąpił Axl Rose. Niedługo później na emeryturę przeszedł Cliff Williams, a u schyłku 2017 roku zmarł Malcolm Young, współzałożyciel grupy. Wielu było przekonanych, że to koniec aktywnej działalności „najgłośniejszego zespołu na świecie”. AC/DC miało wówczas 44 lata.

„POWER UP TOUR”

Teraz zespół jest już świeżo po 50-tce, mając za sobą kilka wielkich powrotów. Niedawno zapowiedziano wydanie serii limitowanych winyli z największymi hitami grupy, a, co najważniejsze, 16.02 ruszyła sprzedaż biletów na kolejne koncerty europejskiej części „POWER UP TOUR”. Podczas niej wystąpią: Angus Young (gitara prowadząca), Brian Johnson (wokalec), Stevie Young (gitara rytmiczna) oraz Matt Laug (perkusja). Cliff Williams, który już w 2016 roku przeszedł na emeryturę – choć powrócił do składu na czas nagrania „Power UP” i występu na Festiwalu Power Trip – nie wyruszy na trasę koncertową. Na basie zastąpi go Chriss Chaney.

Ogłoszenia powyższych rewelacji poprzedziła enigmatyczna, przykuwająca uwagę kilkudniowa promocja i fala pogłosek, trwająca już od jesieni ubiegłego roku. Część z nich – chociażby wyciek informacji, którego dokonał (dwukrotnie) sam burmistrz Monachium, Dieter Reiter – okazała się faktem.

Europejska część trasy rozpocznie się już 17 maja w niemieckim Gelsenkirchen, a zakończy 17 sierpnia w irlandzkim Dublinie. – Podczas trasy tego lata zagramy w Niemczech, Włoszech, Hiszpanii, Niderlandach, Austrii, Szwajcarii, Anglii, Słowacji, Belgii, Francji i Irlandii. Nie możemy się doczekać, żeby was wszystkich tam zobaczyć



„Back In Black” pozostaje trzecim najlepiej sprzedającym się albumem w dziejach muzyki. W 2019, w USA pokrył się 25-krotną platyną.

Co warto nadmienić, wśród publiczności znaleźli się też inni występujący na Festiwalu artyści, jak Lars Ulrich z Metaliki. W wywiadzie dla „Trunk Nation” tak wspominał on występ AC/DC – Po tym koncercie przychodzi mi na myśl jedno słowo: Triumf. (...) Kiedy Angus Young zaczął grać solówkę, a ludzie pokazywali, jak go szanują i kochają, miałem łzy w oczach. Wyczuwalna była jedność. [...]

– czytamy w opisie rolki w mediach społecznościowych zespołu. Fani zdają się podzielać te uczucia – 14 z 24 planowanych koncertów zostało już wyprzedanych (dane na 29.02). Wniosek jest jeden: o „najgłośniejszym zespole na świecie” nadal niezmiennie jest w świecie głośno. Czego możemy się po nim spodziewać na scenie? Miejmy nadzieję, że tej samej energii, jaką zespół pokazał na początku października ubiegłego roku podczas pierwszej edycji Festiwalu Power Trip.

Tak wraca legenda

Słowem wstępu, Power Trip z miejsca stał się sensacją na skalę globalną. Przyczyny? Po pierwsze, grono muzycznych legend (Guns N’ Roses, Iron Maiden, Judas Priest, Tool oraz Metalica) zebrane w jednym miejscu. Po drugie, 7 października AC/DC powróciło na scenę po siedmioletniej przerwie i to w stylu, który fani zapamiętają na długo.

Intro nawiązujące do twórczości zespołu, fajerwerki, kadr na zgrozadzony pod sceną tłum i bum! Australijska grupa weszła w setlistę z młodzieńczą werwą i utworem „If

You Want Blood (You’ve Got It)”. Co zagrali w dalszej części koncertu? Hity, takie jak „Back In Black”, „Thunderstruck”, „Stiff Upper Lip” czy „Hells Bells”, „Whollee Lotta Rosie” oraz „Let There Be Rock” (z dziesięciominutowym gitarowym solo Angusa Younga). Na żywo debiutowały „Demon Fire” i „Shot In The Dark” z albumu „Power UP” a całość zamknęły „T.N.T.” oraz klasycznie, „For Those About To Rock (We Salute You)” przy wystrzałach z kultowych armat, zwieńczonych istną kanonadą sztucznych ogni.

W sumie AC/DC zagrało aż 24 utwory – najwięcej w historii grupy z Brianem Johnsonem na wokalu, czyli aż od 1980 roku! Robi wrażenie? A to jeszcze nie koniec. 12 wykonanych piosenek pochodziło z „ery Briana Johnsona”, a drugi tuzin z czasów, gdy wokalistą zespołu był jeszcze Bon Scott. Części z nich grupa nie grała na żywo od bez mała 20 lat. Jak to wypadło? Tak, że kapcie spadają mi za każdym razem, gdy oglądam amatorskie nagrania fanów z tego koncertu. W każdej sekundzie u muzyków widać i czuć wielkie zaangażowanie, pasję oraz radość z po-

wrotu. Ogniki w oczach i szeroki uśmiech, pozostającego w niemal ciągłym ruchu – tańczącego, czasem nawet skaczącego – Briana Johnsona oraz moc w jego głosie robią kolosalne wrażenie. Taki widok cieszy jak mało co, zwłaszcza, gdy pamięta się o problemach zdrowotnych, z którymi mierzył się brytyjski artysta. Angus Young niezmiennie zachwyca precyzyjnym i niezachwianym kunsztem gry oraz dynamiką, niejednokrotnie prezentując ikoniczny „Duck Walk”, a nawet tarzając się po ziemi w trakcie swojego dziesięciominutowego solo. A, przypomnijmy, panowie mają kolejno 76 i 68 lat! Niemniej imponują Stevie Young i Cliff Williams, kawał dobrej roboty wykonał też Matt Laug, zastępujący Phila Rudda (w związku z kłopotami, jakie miałyby z uzyskaniem wizy) na perkusji.

Co warto nadmienić, wśród publiczności znaleźli się też inni występujący na Festiwalu artyści, jak Lars Ulrich z Metaliki. W wywiadzie dla „Trunk Nation” tak wspominał on występ AC/DC – Po tym koncercie przychodzi mi na myśl jedno słowo: Triumf. (...) Kiedy Angus Young zaczął grać solówkę, a ludzie pokazywali, jak go szanują i kochają, miałem łzy w oczach. Wyczuwalna była jedność. [...] Brian Johnson prawdopodobnie był najlepiej bawiącą się osobą w całej Kalifornii i miał znakomity kontakt z publicznością. Ten jego cholerny uśmiech na twarzy... Napawało mnie to ogromną radością. Było kapitalnie. Coś wspaniałego – spuścił. Równie ciepło powrót przyjęła porażająca większość fanów, wyrażając to za pomocą ko-

mentarzy czy wideo relacji z festiwalu. Mówiąc krótko, bogowie rocka są w formie, która „rozwała” system. Zdają się być bardziej niż gotowi i tym razem nie zanoszą się, by coś stanęło im na przeszkodzie.

Wiedzieliście? Zarówno Cliff Williams, jak i Brian Johnson przyznawali w wywiadach, że już kilka lat temu odbyli serię prób, by sprawdzić innowacyjne wspomaganie słuchu Johnsona w ostrych warunkach koncertowych. Wedle ich relacji efekt był bardziej niż zadowalający, a część logistyczna miała niebawem wejść w fazę planowania. Premierze najnowszego albumu studyjnego „Power UP” już wtedy miała towarzyszyć epicka trasa koncertowa. Co więc stanęło na przeszkodzie? Długotrwały lockdown, obostrzenia i światowa pandemia koronawirusa. Niemniej faktem pozostaje, że comeback grupy w 2020 roku odbił się na świecie echem o isticie legendarnym brzmieniu.

To po prostu „Power UP”

13 listopada 2020 roku swą premierę miał 17. album studyjny grupy. Był tym, na co fani nadzieję mieli od dawna, czego wyczekiwali – był powrotem. Po licznych problemach i trudnościach – wspomnianej niemal całkowitej utracie słuchu Johnsona (który powrócił do śpiewania z innowacyjną technologią wspomagającą), kłopotach z prawem Rudda, czy śmiercią Malcolma Younga – AC/DC zeszli się ponownie.

– Wszyscy mieliśmy coś do udowodnienia. To my tworzyliśmy ten zespół, chcieliśmy więc pokazać, na co nas jeszcze stać – tak uczucia przed wejściem do studia relacyjnował Brian Johnson, w swojej autobiografii „Żyć Briana”. Mówiąc krótko, pokazali. I to jak! To był po prostu „Power UP” – nazwa albumu jest tu niezwykle symboliczna i dosadna a brzmienie – mistrzowskie.

Składający się z dwunastu niesamowitych, nośnych utworów, wprost krzyczący: „wróciliśmy!”, hołd dla Malcolma Younga dotarł na szczyty list sprzedaży w 21 krajach, spotykając się z bardzo pozytywnym odbiorem fanów oraz krytyków. Jak, we właściwym sobie stylu, skomentował to Johnson w swojej autobiografii? – No cóż chłopcy, zajęło nam to jedynie 40 lat! – podsumował z humorem.

Grupa niczym feniks z popiołów raz za razem odradza się, by porwać świat. Ich długo wyczekiwana trasa koncertowa już teraz stała się jednym z najgłośniejszych, a bardzo możliwe, że najgłośniejszym wydarzeniem muzycznym 2024 roku. AC/DC, „WE SALUTE YOU”!

Marcin KLONOWSKI

Rewolucja na rynku trenerskim

Ponad miesiąc temu z rozpędem ruszyła trenerska karuzela wśród największych europejskich klubów. Kilku hegemonów stanie przed zadaniem zatrudnienia nowego szkoleniowca, a ofiarą tego mogą paść zespoły próbujące dokończyć do czołówki na krajowym lub międzynarodowym podwórku.

Jednym z bardziej ekscytujących momentów każdego piłkarskiego roku jest przerwa pomiędzy sezonami. Apetyty i tak już wygłodniałych kibiców czekających, aż wreszcie ponownie zobaczą swoich ulubieńców na boisku, wzmagają dyskusje na temat transferów. Latem każdy klub w jakiś sposób musi zdefiniować swoje cele na kolejne rozgrywki, a żeby je zrealizować, stara się poukładać kadrę zespołu w możliwie najlepszy sposób. Tym razem jednak letnia przerwa będzie jeszcze bardziej ekscytująca. Oprócz śledzenia transferów piłkarzy, z równie bacznością będziemy przyglądać się poważnym zmianom na ławkach trenerskich i śledzić, jak gra poszczególnych zespołów zmienia się pod batutą nowych szkoleniowców.

Ból kibiców

Całe zamieszanie zapoczątkował jeden z najbardziej uznanych trenerów ostatnich lat Jürgen Klopp, gdy 26 stycznia za pośrednictwem mediów społecznościowych swojego klubu poinformował, że wraz z końcem bieżącego sezonu ustąpi z funkcji trenera Liverpoolu. Charyzmatyczny niemiecki szkoleniowiec swoją decyzję tłumaczył tym, że jego energia wyczerpuje się i potrzebuje on czasu na odpoczynek. Klopp objął „The Reds” w październiku 2015 roku. Wyszadzany za liczne niepowodzenia klub uczynił jedną z najlepszych angielskich drużyn ostatniej dekady. Charakteryzuje się ona ekscytującym, energicznym stylem gry. Niemiec zbudował wspaniałą więź z kibicami oraz piłkarzami. Z tego powodu ból po jego odejściu będzie jeszcze większy, bo stał się on bardzo



Jürgen Klopp zszokował kibiców swoją decyzją

ważnym elementem historii całego klubu, dla którego jak do tej pory zdobył osiem pucharów. Dorobek ten może się powiększyć, gdyż „The Reds” wciąż są w grze o Mistrzostwo Anglii, Puchar kraju, a także zwycięstwo w Lidze Europy. Wygląda na to, że decyzja trenera o odejściu nie podcięła im skrzydeł, bo pod koniec lutego Liverpool wygrał Puchar Ligi, a w Premier League jest liderem (stan na 1 marca). Bardzo interesująco kształtują się również losy klubu w kolejnych rozgrywkach. Nadejście potrzeba zmierzania się z odejściem wieloletniego, uwielbianego szkoleniowca, tak aby nie zmarnować jego dzieła. Trudno sobie wyobrazić, by władze zespołu pozwoliły na gwałtowną zmianę stylu gry, tym bardziej że wraz z początkiem obecnego sezonu zaczęła się spora przebudowa drużyny pod batutą Jurgena Kloppa, którą będzie musiał kontynuować już ktoś inny.

Niespełnione nadzieje

Liverpool to niejedyny europejski gigant, który w letniej przerwie dokona trenerskiej roszady. Dotyczy to też m.in. FC Barcelony. Xavi Hernández o swojej decyzji poinformował ledwie dzień po Jürgenie Kloppie, po przegranym meczu swojego zespołu. Kontekst jego odejścia jest jednak inny. Status legendy klubu w przeciwieństwie do Niemca wyrobił sobie jeszcze jako

Wiemy natomiast, że czekają nas niezwykle ekscytujące miesiące. Wybory Barcelony, Bayernu i Liverpoolu mogą bowiem przyczynić się do roszad na stanowiskach szkoleniowców w wielu innych klubach. Poza tym istnieje szansa, że jeszcze w kilku znaczących zespołach dojdzie do zmian. Zapowiada się na to, że w następnym sezonie będziemy świadkami nowego, bardzo emocjonującego układu sił.

piłkarz, czarując swoją grą. Jego przyjście do „Dumy Katalonii” w listopadzie 2021 roku zostało przyjęte przez kibiców z wielkim entuzjazmem. Niemal każdy był przekonany, że tak genialny środkowy pomocnik jest po prostu stworzony do bycia trenerem. Swoje pierwsze trofea w roli szkoleniowca w Barcelonie zdobył w zeszłym roku. Najpierw triumfował w Superpucharze Hiszpanii, by kilka miesięcy później zdobyć mistrzostwo kraju. Kibice „Blaugrany” mieli więc uzasadnione powody ku temu, by z nadzieją spoglądać na kolejny sezon. Liczono na to, że Xavi będzie konsekwentnie rozwijał drużynę pełną młodych talentów i pomoże jej przywrócić nadszarpnięty ostatnimi latami status. Tymczasem wraz z upływem kolejnych tygodni trwających rozgrywek wzmagały się zarzuty ze strony fanów, że Hiszpan nie ma pomysłu na grę zespołu, nie rozwija go i nie potrafi odpowiednio zarządzać poten-

cjałem kadry. W efekcie tego Barcelona marzec rozpoczęła z ośmioma punktami straty do liderującego w La Liga Realu Madryt.

Jeszcze inaczej sytuacja ma się w Bayernie Monachium, który w ostatnich latach przyzwyczaił swoich sympatyków do dominacji na krajowym podwórku. Ostatni sezon, który nie zakończył się Mistrzostwem Niemiec w wykonaniu Bawarczyków, to rozgrywki 2011/2012. Znosi się jednak na to, że ta wieloletnia passa dobiegnie końca. Bayern na 11 kolejek przed końcem sezonu tracił bowiem osiem punktów do rozpędzonego Bayeru Leverkusen, zaliczając wcześniej kilka bolesnych potknięć. Te najbardziej dotkliwe miało jednak miejsce w zmaganiach o krajowy puchar, gdy monachijczycy w 1/16 finału przegrali z trzecioliigowym Saarbrücken! Ponadto w momencie pisania tego tekstu wahał się ich los w Lidze Mistrzów. Nawet jednak potencjal-

ny triumf w całych rozgrywkach i tak nie uratuje posady Thomasa Tuchela. 21 lutego klub za pośrednictwem swoich mediów społecznościowych poinformował bowiem, że wraz z końcem sezonu zakończy się współpraca z trenerem. Trudno się temu dziwić, bo następcą Juliana Nagelsmanna zatrudniony w marcu zeszłego roku nie spełnił stawianych przed nim oczekiwań. Niespełna dwa tygodnie po zatrudnieniu Tuchela zespół odpadł z Pucharu Niemiec, kilkanaście dni później z Ligi Mistrzów, a prym na krajowym podwórku pozwoliła uratować koszmarna nieudolność Borussia Dortmund w ostatniej kolejce.

Kogo wybiorą?

Wspólnym mianownikiem dla Bayernu Monachium, jak i Liverpoolu jest Xabi Alonso, czyli były piłkarz tych klubów, robiący furorę w Bayerze Leverkusen. Robi to w niezwykle efektownym stylu, bo grą jego zespołu można się zachwycić i, co więcej – Bayer w tej kampanii (biorąc pod uwagę okres do 1 marca) nie przegrał żadnego spośród 33 meczów! Kontrakt Basaka (będącego dopiero na początku swojej trenerskiej kariery) w Leverkusen ważny jest do czerwca 2026 roku, więc może się okazać, że po bieżących rozgrywkach nie zmieni on jeszcze swojej przynależności klubowej. Innym łakomym kąskiem może być też Roberto De Zerbi, który w poprzednim sezonie wywindował angielskie Brighton na szóste miejsce w lidze i ma przed sobą 1/8 finału Ligi Europy (pierwszy mecz odbył się 7 marca, a drugi tydzień później). Atrakcyjny styl gry, jaki prezentuje drużyna włoskiego szkoleniowca, na pewno jest kuszącą perspektywą chociażby dla kibiców Barcelony. Nie jest jednak pewne, czy De Zerbi jest już gotowy na pracę w którymś z piłkarskich gigantów.

Wiemy natomiast, że czekają nas niezwykle ekscytujące miesiące. Wybory Barcelony, Bayernu i Liverpoolu mogą bowiem przyczynić się do roszad na stanowiskach szkoleniowców w wielu innych klubach. Poza tym istnieje szansa, że jeszcze w kilku znaczących zespołach dojdzie do zmian. Zapowiada się na to, że w następnym sezonie będziemy świadkami nowego, bardzo emocjonującego układu sił.

Igor DZIEDZIC

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra

Wydawca: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, ul. Umultowska 89a, 61-614 Poznań.
Redakcja: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, Uniwersytetu Poznańskiego 5, pokój 144, 61-614 Poznań
email: fenestra.uam@gmail.com, facebook: www.facebook.com/gazeta.fenestra
ISSN 2658-2023



Redaktor naczelny:
Kacper Zieleniak
Zastępczyni redaktora naczelnego:
Daria Sienkiewicz
Redaktorka działu polityki i społeczeństwa:
Karolina Szymgin
Redaktor działu sport:
Kacper Bagrowski

Redaktorka działu kultura/Szefowa działu foto:
Daria Sienkiewicz
Sekretarzynie redakcji:
Olivia Górską
Koordinator ds. warsztatów:
Remigiusz Różański
Korekta:
Hanna Jaskuła
Kasia Chojnowska

Martyna Kościelska
Olivia Syrek
Amelia Ogrodowczyk
Redakcja:
Paulina Bączek
Marianna Czmochowska
Igor Dziedzic
Szymon Filipiak
Olivia Garczyńska
Zuzanna Górna
Marcelina Górską
Olivia Górską

Aleksander Gręda
Zuzanna Grzegorzewska
Paulina Juzak
Łukasz Kawa
Marcin Klonowski
Oskar Kmak
Martyna Kościelska
Monika Lisiak
Paweł Maksimczyk
Dominika Marciniak
Olivia Maziopa
Roksana Michalska

Olimpia Olił
Roch Orzechowski
Kacper Pocztarski
Julia Remisz
Piotr Rydz
Karolina Szymgin
Filip Stachowicz
Izabela Sulowska
Katia Szweđa
Anastasiya Trafimuk
Mateusz Wasielewski
Zuzanna Zaremba

Opiekunka redakcji:
Aleksandra Konieczna
Skład
Tomasz Szukała
Strona internetowa
www.gazetafenestra.pl
Facebook
www.facebook.com/gazeta.fenestra
Instagram
gazetafenestra
Twitter
/twitter.com/FenestraGazeta

Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania nadesłanych tekstów.